Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V | Łódź, 18 kwietnia 1948 r. | Nr 16 (145)

W NUMERZE

między innymi:



Tadeusz Orlewicz

FRANCJA, FRANCJA!...

Francja znajduje się obecnie w poważnym impasie gospodarczym. Kraj ten, regulując swoje problemy wewnętrznej polityki społeczno - ekonomicznej pod kątem podporządkowania się zaleceniom waszyngtońskiego Białego Domu i nowojorskiej Wall - Street, traci powoli podstawowe bazy suwerenności gospodarczej i popada w coraz bardziej wzrastające trudności. Zagadnienie bilansu płatniczego Francji, szybka ucieczka rezerw złota, sprawy walutowe, problem cen i płac, niedostatek źródeł energii tak w odniesieniu do człowieka jak produkcji, rażąco wadliwy podział dochodu społecznego, sprawy aprowizacyjne, sprawy wydajności produkcyjnej — oto w ogólnych zarysach główne „wąskie gardła" gospodarki francuskiej.

Francja, której straty i zniszczenia wojenne nie naruszyły w podstawowych elementach substancji majątkowej gospodarki narodowej, boryka się z ciężkimi kłopotami. Jesteśmy od roku świadkami pogłębiania się depresji. Poważną rolę w tych sprawach grają oczywiście czynniki pozagospodarcze i one przede wszystkim kształtują obecny szarpany, nieregularny i nerwowo zmieniający się model gospodarczy Francji. Stosunek rządu francuskiego do planu Marshalla jest tego wyraźnym dowodem.

Jeżeli więc będziemy o tym pamiętać, pomoże to nam nieco przy omawianiu spraw szczególnie aktualnych dla Francji, a mianowicie — przy rozważeniu pomocy amerykańskiej i sprawy dewaluacji oraz jej skutków. Dziś bowiem szczególnie silnie problematyka gospodarcza, łączy się z problematyką polityki bieżącej, a za zasłoną dymną wielkich rzekomo haseł, lansowanych przez tzw. demokracje zachodnie trzeba umieć wyszukać istotne sprężyny działania, które — tak się składa — zawsze wiodą do siedzib finansjery międzynarodowej i zgoła nieefektownie wyglądają od strony „podszewki".

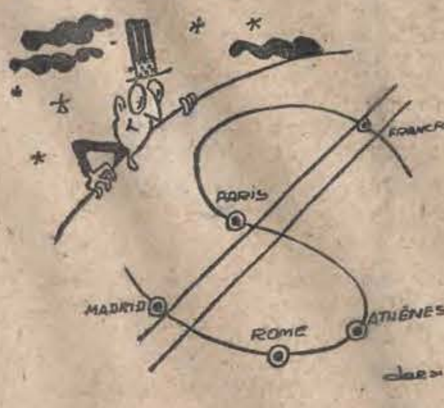
Przyjrzyjmy się więc, jak kapitał amerykański rozgrywa we Francji partię o jej suwerenność.

DOLAR I FRANK

W grudniu 1945 roku dokonano ustalenia kursu dolara na 119,1 franków. Od tego okresu siła nabywcza franka spadła o 50 proc. Objawy tego wystąpiły na rynku wewnętrznym i w stosunkach handlowych z zagranicą, zwłaszcza na odcinku eksportu. W kraju wzrastają wskaźniki drożyźniane, rośnie pula obiegu pieniężnego i z konieczności podnosi się wskaźnik płac nominalny, chociaż nie nadąża on za zwyżką cen, powodując zdecydowane słabnięcie siły nabywczej warstw pracujących.

Od maja do listopada 1947 r. cena chleba wzrosła z 11 na 24 franki za 1 kg, mleka z 12 na 23 fr. za litr, mięsa z 250 na 400 fr. itd. Cena węgla została podniesiona z 1350 fr. na 2160 fr. za 1 tonę. W tym samym czasie płace wzrosły nominalnie o 11 proc., faktycznie zaś wzrost ten niweluje się wobec tego, iż około 40 proc. zakupów konsument francuski dokonywuje na czarnym rynku, płacąc ceny dużo wyższe od normalnych. W efekcie siła nabywcza przeciętnego pracownika francuskiego znakomicie się kurczy. Wskaźnik drożyźniany prawie podwójnie rośnie.

Rośnie również obieg banknotów, który pod koniec ubiegłego roku wynosił 920 miliardów fr. wobec 570 w roku 1945. Ten wzrost nie nadążał ani za rozwojem produkcji ani za nagromadzeniem się zapasów rezerw złota. Można twierdzić, że mamy tu do czynienia z działaniem odwrotnie proporcjonalnym, a mianowicie: stagnacją w dziedzinie produkcji i ucieczką złota z Banku Francji. Zapasy złota w tym Banku stale maleją i stanowiły w końcu ubiegłego roku zaledwie 7 proc. stanu rezerw z r. 1932. Przemysł francuski z uwagi na zaniedbanie inwestycyjne, brak siły roboczej, a przede wszystkim ze względu na trudności na odcinku zaopatrzenia w węgiel, który sprowadzony jest z USA po wysokich cenach, z trudem osiąga pułap z r. 1946, chociaż nie odczuł on poważniejszych zniszczeń wojennych. Tu trzeba dodać ważny dla ogólnej charakterystyki szczegół, że Francja za same opłaty frachtowe za węgiel z USA zapłaciła ponad 60 miliardów dolarów, a więc około 25 proc. pożyczki, którą otrzymała w roku ubiegłym z Banku Międzynarodowego.



Planisfera... wpływu albo nowego wieku
Rys. z France Nouvelle

W r. 1946 budżet zwyczajny Francji został zamknięty deficytem 111 miliardów franków, preliminarz budżetowy na rok 1947 określał już deficyt na 600 miliardów franków i dopiero w wyniku pewnych zabiegów spróbowano go obniżyć do 400 miliardów fr.; miał on być pokryty przez odroczenie na jeden rok płatności weksli, którymi państwo płaci swoich dostawców, przez zaciągnięcie pożyczki wewnętrznej oraz przez wpływy eksportu. Resztę pokrycia widziano w nowej emisji banknotów, która pociąga za sobą zawsze w takim układzie stosunków — inflację i dalsze pogorszenie stanu finansowego. Emisja ta przekroczyła zresztą dodatkową pulę 200 miliardów franków, ponieważ deficyt handlowy Francji rośnie wobec kurczenia się eksportu. Oficjalny parytet franka i dolara z r. 1945 wobec wzrostu cen na rynku wewnętrznym od dawna nie odpowiadał rzeczywistej wartości waluty francuskiej, stąd też artykuły eksportowane przez Francję, zbyt drogo kalkulowały się za granicą i nie znajdywały chętnych nabywców. To w konsekwencji przynosi zamykanie fabryk i warsztatów oraz bezrobocia. Trzeba przyznać, że teoretycznie spadek franka sprzyjać powinien jednocześnie importowi. Ale importować można albo za dewizy albo w drodze wymiany towarowej. Francja pod koniec 1947 r. nie rozporządzała żadnymi dewizami zagranicznymi, ponieważ kurczył się eksport, a na wymianę towarową nie poszła, pilnie strzeżona przez swoich opiekunów z waszyngtońskiego Białego Domu i nowojorskiej Wall-Street. Jesteśmy więc jednocześnie świadkami i spadku eksportu i zmniejszenia się importu, co w konsekwencji oznacza dalsze pogłębienie depresji na odcinku bilansu płatniczego państwa.

W obliczu tych problemów rząd francuski podporządkowuje Francję całkowicie polityce imperializmu kapitalistycznego USA i rezygnuje z walki o suwerenność gospodarczą, a kultywując zdradliwą koncepcję trzeciej siły rezygnuje z walki o poprawę sytuacji na bazie jednolitego frontu mas pracujących, na bazie koniecznych reform społecznych i gospodarczych, wydobywających z ludu współodpowiedzialność za losy kraju i jego gospodarki.

ZABAWA W KOTA I MYSZKĘ CZYLI NOWY UKŁAD „MONACHIJSKI"

W dniu 2. 1. 1948 r. został podpisany układ w sprawie doraźnej pomocy amerykańskiej dla Francji. Rząd francuski otrzymał przyrzeczenie nowej pożyczki na warunkach jednak szczególnie ciężkich, które właściwie uzależniają całkowicie gospodarkę Francji od USA. Kilka już pożyczek i to na bardzo poważne kwoty Francja zaciągnęła od Stanów Zjednoczonych. Oznaczały one, że sfery rządowe Francji idą po linii najmniejszego oporu, ale kiedy przyjrzymy się kolejnym etapom tych transakcji, to musimy powiedzieć, że w tym była wyraźna metoda ewolucyjna. Polegała ona przede wszystkim na jak najszybszym wycofywaniu rezerw dewizowych z Francji drogą wzmożonego importu amerykańskiego, a jednocześnie na stopniowym podkopywaniu opłacalności istnienia tych gałęzi przemysłu francuskiego, które dla USA mogłyby stanowić niepotrzebną konkurencję. Kurczy się więc we Francji produkcja przemysłu filmowego, zmniejszają się efekty produkcyjne w przemyśle samochodowym, lotniczym itp. Jednocześnie bezpośrednio lub pośrednio uniemożliwia się rozwój produkcji rolnej. Ten łańcuch przyczyn i skutków jest naturalnym w tej chwili zjawiskiem, ponieważ dolar stanowi wyraźnie instrument polityki pozagospodarczej USA. Stany Zjednoczone dążą bowiem wszelkimi siłami do zapewnienia sobie i rynków zbytu i korzystnego importu. Rynki eksportowe są im potrzebne poto, aby ściągnąć część i to największą część udzielonych kredytów. Gdzie eksport zawiedzie tam ściąganie kredytów nastąpi na drodze importu do USA dóbr kraju dłużniczego w/g cen i rodzajów, dogodnych dla odbiorcy amerykańskiego. Trzecim wreszcie elementem udziału USA w handlu zagranicznym jest pozostawienie reszty kredytów na udział w obcych gospodarkach narodowych, jeżeli nie uda się w sposób inny obezwładnić tych gałęzi produkcji danego kraju, które psują szyki planom ekspansji kapitalistycznej Stanów. Oczywiście, że w każdym z wyżej wymienionych przypadków dolar będzie się czuł najlepiej w tych krajach, w których będzie miał zapewnioną nie tylko kontrolę ekonomiczną, ale i polityczną. Rzecz w szczególnie ostry sposób rysuje się właśnie na przypadku Francji. Dla obserwatorów tych zjawisk taktyka USA jest wyraźna i nie trzeba powoływać się na tzw. plan Marshalla, wystarczy przejrzeć historię powstania i dalszych losów Międzynarodowej Organizacji Handlu (I.T.O), tematykę układów w Bretton Woods, aby stwierdzić, że ekspansja gospodarcza i polityczna USA poprzedzana jest eksportem dolarów *).

Francja uzyskiwała pożyczki w USA, szybko jednak one topniały w zestawieniu z potrzebami gospodarczymi. Był okres we Francji powojennej, kiedy kolejność zdarzeń w tej dziedzinie uległa wyraźnemu zahamowaniu. Okres ten odpowiadał okresowi, w którym w gabinecie francuskim zasiadali ministrowie — komuniści. Oni to dążyli do wzmożenia produkcji krajowej i dążenia te miały konkretne efekty pozytywne. Wówczas też stawiano zagadnienie celowego wykorzystania pożyczek zagranicznych na potrzeby inwestycyjne przemysłu. Ze zmianą gabinetu ewolucja została wprowadzona na poprzednie tory i w rozwoju swym przyśpieszona. Pozostał tylko głęboki rozdźwięk pomiędzy obecnymi sferami rządowymi Francji, a szerokimi masami robotniczymi, które uświadomiły sobie z chwilą odejścia komunistów ze stanowisk ministrów szczególnie wyraźnie katastrofalną dla Francji drogę, obraną i przez rząd Ramadier'a i rząd Schumana.

W atmosferze takiej i w takich okolicznościach wyżej wymieniony układ z 2 stycznia oceniony został jako nowy układ monachijski — wg określenia „Humanitè". W konsekwencji tego układu Francja zobowiązała się bowiem złożyć na rachunku specjalnym w Banku Francji taką sumę franków, jaka odpowiada wartości dostaw amerykańskich, obliczonej w dolarach. Są przy tym punkcie dwa od razu zastrzeżenia bardzo charakterystyczne. Pierwsze z nich powiada, że suma w/w może być również zużyta przez rząd amerykański na pokrycie wydatków administracyjnych oraz na cele, które mogą być ustalone później przez oba rządy. Klauzula ta jest klauzulą niebezpieczną i daje pole do szerokiej dowolności w interpretowaniu jej przez stronę amerykańską, a o to przecież chodziło finansjerze USA, aby metodami tajnej dyplomacji pokrywać istotne sprężyny rzeczy. Drugie zastrzeżenie określa, że za podstawę obliczeń przyjmuje się oficjalny kurs dolara; ponieważ obowiązujący jeszcze w styczniu rb. kurs dolara, z roku 1945 nie był wygodny dla USA, przeto tu leży źródło dokonanej dewaluacji franka, stanowiącej

---

*) Porównaj: Tadeusz Orlewicz. Na marginesie prac Międzynarodowej Organizacji Handlu, „Życie Gospodarcze" Nr 2 z r. 1947.

właśnie z tego tytułu jedno z ogniw zacieśniającej się zależności Francji od Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

WWIEZIEMY WAM WASZE TOWARY — SZLAG TRAFI WASZ PRZEMYSŁ!

Dalej Francja w umowie tej przyjęła na siebie warunek, że nie będzie mogła eksportować produktów otrzymanych w ramach pomocy z USA, przy czym dotyczyć to ma również analogicznych produktów nawet pochodzenia zagranicznego. Jeżeli tekst, który mamy przed sobą, nie jest zniekształcony to warunek ten oznacza, iż eksport francuski, ograniczony zostaje w sposób wydatny szczególnie w wachlarzu towarowym. Jeżeli zatem do Francji przemysł amerykański będzie importował te artykuły, które są produkowane przez przemysł francuski, to nieliczne tylko firmy francuskie wytrzymają konkurencję, a wiele z nich będzie musiało zaniechać produkcji. Tak zresztą dzieje się obecnie, natomiast poza węglem drogo opłacanym, nie widać w wykazach importu USA do Francji tych surowców, które są Francji niezbędnie potrzebne dla rozszerzenia produkcji, a nawet dla utrzymania jej na dotychczasowym poziomie.

Francja zobowiązała się również do udzielenia wszystkich informacji, jakich zażąda USA w związku z operacjami wynikającymi z układu. Była już mowa o tym, że Francja nie może eksportować takich artykułów, jakie otrzymuje z USA, choćby były pochodzenia francuskiego. Okazuje się, że klauzula ta dotyczy importu. Inaczej mówiąc, Francja musi sprowadzać wszystkie produkty wyszczególniane w układzie, tylko ze Stanów Zjednoczonych A. P., przy czym obojętną jest rzeczą, czy cena jest odpowiednia, czy ilość jest wystarczająca lub czy asortyment towarowy jest właściwy.

W ten sposób francuski handel zagraniczny przeszedł praktycznie całkowicie pod kontrolę amerykańską, przy czym zalegalizowana została w ten sposób kontrola wewnętrznej gospodarki francuskiej, co w normalnych warunkach nazywamy tzw. wywiadem gospodarczym lub po prostu: szpiegostwem.

Istotą układu jest fakt, że nie zawiera on żadnych gwarancji w sprawie dostarczenia przez rząd USA tych artykułów, których ewentualnie zażądają Francuzi, natomiast dla strony francuskiej oznacza konkretną możliwość, iż USA może zabronić pod groźbą cofnięcia pomocy — wszelkiego eksportu francuskiego, który by nie odpowiadał kapitalistom północno-amerykańskim. Trzeba również podkreślić, że z intencji układu wynika, iż pomoc amerykańska może być rozdzielana nie tylko przez rząd francuski, lecz przez inne osoby i organizacje. Oznacza to chęć wyraźną uchylenia się od kontroli pomocy amerykańskiej oraz dążenie do infiltrowania w życie gospodarcze kraju różnymi drogami. Ta sprawa jest zagadnieniem istotnym i wypływa z istnienia silnych powiązań finansjery międzynarodowej w krajach kapitalistycznych, europejskich i zaoceanicznych.

Fakty natury wewnętrznej i zewnętrznej wyżej szkicowo przedstawione stanowią tło dla ostatnio dokonanych operacji finansowych we Francji, zwłaszcza zaś dla dokonanej dwa miesiące temu dewaluacji franka. Dewaluację tę charakteryzują dwa zasadnicze posunięcie. Pierwsze z nich to jednolite podwyższenie o 80 proc., po jakim kupuje i sprzedaje Fundusz Stabilizacyjny obce waluty. W ten sposób dotychczasowa cena dolara uległa podwyższeniu do 214 fr. (zamiast dotychczasowych 119 fr.), cena funta szterlinga z 480 na 824 itp. Drugim posunięciem jest wprowadzenie wolnego handlu na amerykańskie dolary, na złoto i na portugalskie escudos. Ponadto eksporterzy francuscy będą zobowiązani połowę otrzymanych dewiz oddać do dyspozycji banków francuskich po kursie oficjalnym (a więc 214 fr. za 1 dolar), zaś połową będą mogli obracać na wolnym rynku.

WCIELENIE DO PRYWATNEJ GOSPODARKI I OGÓLNEJ POLITYKI USA

Jakie są ogólne konsekwencje dewaluacji? Nie wchodzimy w szczegóły, aby nie nużyć czytelnika, ale trzeba przede wszystkim stwierdzić, że w drodze kompensaty za dostawy z tytułu pomocy, USA będzie blokować Francji obecnie 80 proc. franków więcej niż dotychczas. Sądząc z oświadczenia przedstawiciela USA w Międzynarodowym Funduszu Walutowym, oficjalnie Stany Zjednoczone AP wypowiadają się przeciw dokonanej dewaluacji, nieoficjalnie natomiast w rezultacie prywatne kapitały amerykańskie mają ułatwioną drogę do prowadzenia we Francji, analogicznej taktyki jak to się dzieje we Włoszech. Jeden z dzienników francuskich słusznie stwierdził, że zamiast prawdziwej pomocy jednego narodu dla drugiego — Francja zostanie w istocie wcielona do prywatnej gospodarki i ogólnej polityki amerykańskiej. W wyniku dewaluacji — Amerykanie będą potrzebować o połowę dolarów mniej niż przed tym, aby nabywać we Francji przedsiębiorstwa, udziały w nich itp. Nie można również zapominać i o tym, iż dzięki dokonanej dewaluacji i zawartego układu o pomocy amerykańskiej, ukryte w USA kapitały francuskie mogą wejść do obiegu handlowego marshallowskiej pomocy dla Francji, częściowo ją w ten sposób finansując. Transakcja ta jest opłacalna wyraźnie dla Amerykanów, zwłaszcza kiedy odbywa się kosztem tego, któremu oferowano tak „wspaniałomyślną" pomoc.

Dewaluacja pociągnęła za sobą we Francji wzrost cen na rynku wewnętrznym. Sytuacja wewnętrzna nie sprzyja wytworzeniu atmosfery zaufania, a niedobory żywności i surowca trzeba pokrywać nadal i to w rosnącym wymiarze — importem. Należy więc liczyć się mimo dokonanej dewaluacji ze zwichnięciem dotychczasowej równowagi wymiany z zagranicą. A również operacja ta jak obecnie można sądzić, nie wpłynie dodatnio na sytuację materialną mas pracujących. Wszystkie płace, które już i tak nie wystarczają, stają się jeszcze bardziej niedostateczne wobec wzrastających kosztów utrzymania. Natomiast fabryki, zapasy towarów, nieruchomości, wytwory przemysłu, rezerwy dewiz, ulegną automatycznemu przewartościowaniu we frankach na wyższe sumy. Oznacza to dalsze pogłębienie niesprawiedliwości w podziale dochodu społecznego z uszczerbkiem dla mas pracujących.

Tak więc Francja przeżyła bardzo istotną operację finansową w okresie, który jest daleki od stabilizacji stosunków. Dyskusje na ten temat, czy moment był z tych względów trafnie wybrany, emocjonuje wielu Francuzów, wszyscy jednak zgadzają się z tym, że przeprowadzona dewaluacja nie jest posunięciem definitywnym, że nie zapobiegnie ona wielu trudnościom, które dręczą Francję, kraj, pozostający w stanie podstawowej choroby ekonomiczno-społecznej.

SPRAWA CHLEBA W PSZENICZNEJ FRANCJI

Na czoło tych zagadnień obok wyżej podanych, wysuwa się sprawa chleba. Deficyt na tym odcinku wypływa bezpośrednio z wadliwej polityki gospodarczej rządu szczególnie w zakresie polityki cen na artykuły rolne. Prasa donosi jednocześnie o dużych transportach pszenicy do Francji. A przecież kraj ten przed wojną posiadał pełną samowystarczalność rolniczą i był największym w Europie producentem pszenicy. Dziś utrzymuje się we Francji norma racjonowania chleba w 250-gramowej racji dziennej i nie jest rzeczą pewną, czy i ta mała racja dzienna nie zostanie obniżona do 220—200 gr przydziału dziennego. Prawda, że wieś francuska jeszcze przed wojną wyludniała się nadmiernie, gdyż obciążenia powodowały nieopłacalność produkcji rolnej, zwłaszcza na słabszych gruntach. Po wojnie obciążenia nie są tak dotkliwe, mimo to jednak powierzchnia uprawna kurczy się i jest mniejsza o 1,6 milionów ha niż przed wojną, kiedy ziemię uprawiano na obszarze 17,8 milionów ha. Szczególnie wyraźnie ubywa ziemi, zasiewanej pszenicą, gdzie rejestrujemy ubytek 40-procentowy w porównaniu ze stanem przedwojennym.

Rozwiązanie zagadnienia tkwi w tym, że na rynek obecnie trafia 30 proc. ilości pszenicy, jaką dostarczał rolnik miastu przed wojną, podaż mięsa jest mniejsza o 58 proc., masła o 50 proc. Rolnik francuski zwłaszcza w obecnym okresie nie ma zaufania do waluty, a polityka cen, stosowana przez rząd, powoduje, że nie opłaca się rolnikowi rozwijać produkcji roślinnej, zwłaszcza zaś pszenicy, a woli kłaść nacisk na produkcję hodowlaną. Wskaźnik wzrostu cen pszenicy i wytworów produkcji hodowlanej wykazuje, że cena na pszenicę wzrosła w porównaniu z rokiem 1938 — tylko 2,3 razy, podczas gdy na inne artykuły ceny zwyżkowały: dla mięsa wołowego i wieprzowego — 4-krotnie, dla jaj 5-krotnie i dla masła 3-krotnie. Dlatego rolnik przeznacza dużą część pszenicy na pokarm dla bydła i nie ma najmniejszego powodu do ograniczenia własnej konsumcji a w konsekwencji nożyce artykułów przemysłowych i rolnych zacięły się. Polityka rządu w tym zakresie jest polityką wysokich cen i pustych półek a więc podporządkowuje się całkowicie dyrektywom polityki kapitalistycznej. Stąd problem aprowizacyjny wyrasta we Francji jako zagadnienie, uderzające w szerokie masy robotnicze. Sytuację zaostrza dokonana dewaluacja, ponieważ plan importu żywności obliczony jest na 160 milionów dolarów, a w wyniku dewaluacji żywność zakupiona za każdego dolara nie będzie we Francji kosztować 117 franków, a 214 franków, ponieważ zaś wydatki na wyżywienie są największą pozycją w budżetach rodzin pracowniczych, przeto i na tym odcinku skutki dewaluacji będą w całym swym ujemnym ciężarze spadały na ich barki.

NAKONIEC — WNIOSKI!

Tych szkicowych kilka uwag o aktualnej sytuacji gospodarczej Francji wystarczyć nam może do sprecyzowania pewnych wniosków ogólnych. Trzeba przede wszystkim stwierdzić, że rząd francuski, opanowany przez bankierów i ludzi interesu (Coty, Abelin, du Praz, Mayer), działa na korzyść wielkiego kapitału, tym bowiem można sobie chyba tylko wytłumaczyć ową wymianę banknotów. Dalej obecny rząd francuski otwiera granice kraju dla ekspansji międzynarodowego kapitału, podporządkowując interesy Francji interesom tego kapitału. Świadczy o tym umowa o pomocy amerykańskiej i dewaluacji. Rząd ten przerzuca wszystkie ujemne konsekwencje złej sytuacji gospodarczej kraju na człowieka pracy, czego dowodem są duże podatki, obciążające pensje i płace, czego dowodem są wysokie ceny i wreszcie fakt, że w następstwie dewaluacji żywność będzie kosztowała o 80 proc. drożej, aby wyrównać zysk eksportera. I wreszcie jako wniosek końcowy — to sprawa głębokich schorzeń strukturalnych IV Republiki, to zagadnienie niesłusznego podziału dochodu społecznego, to problem, który zarysował się ostro i przy wymianie banknotów i przy dewaluacji, że coraz mniej z tego bochenka ogólnego przypada chleba na masy pracujące.

Francja na obranej przez siebie drodze nie znajdzie ani poprawy sytuacji ani stabilizacji stosunków, bo poprawa sytuacji i stabilizacja stosunków wymaga **zasadniczych reform i mocnych chwytów w odniesieniu do tych klas**, którym obecny kryzys przysparza nadmierne zyski, **wymaga wiary w potrzebę utrzymania suwerenności gospodarczej**, o którą mocnym głosem wołają masy pracujące Francji, zrzeszone w C. G. T.

Tadeusz Orlewicz

Mieczysława Buczkówna

DZIEWCZYNA MÓWI Z GROBU:

Wracam do Ciebie jeszcze gwiazdą
pokazałam Ci ją kiedyś milcząc,
wracam do Ciebie jeszcze kwiatem
przyniosłam Ci kiedyś różyczkę
wracam do Ciebie jeszcze dźwiękiem
gdy zegary kościelne dzwonią
tylko nade mną czas stanął
i z Tobą rozłączył.
Mówię — a jednak mnie nie ma
żyję w Tobie wspomnieniem o mnie
gwiazda blednie, dźwięk i kwiat
blednie. Musisz, musisz zapomnieć.

Listy polityczne

JEST W NARODZIE SIŁA...

Drogi przyjacielu!

Przeczytasz w tym numerze „Wsi" o wcielaniu Francji w sieć prywatnej amerykańskiej finansjery i w sieć ogólnej polityki USA. Dowiesz się, jaka to francuska klasa społeczna niszczy wolność własnego narodu. Przyjrzysz się na przykładzie filozofii Sartre'a, jaką jest ta klasa wypełniona pustką duchową, poczuciem nicości życia. Zobaczysz Anglię w potrzasku amerykańskim: na rozdrożu, w momencie wyboru: wolności własnego narodu i związku z Europą ludową lub też... przeczytasz. Smutne to, ale nie tragiczne jeszcze. Są siły i we Francji i Anglii, które wcześniej tu, później tam, skończą ze zdradą narodu i mas narodowych.

Stara polityka starych klas panujących z burżuazją na czele — widzisz, do czego prowadzi. Ach, Sartre z jego kuszeniem człowieka do uznania życia, jako **drogi poprzez nicość ku śmierci**. Ma ta filozofia tłumaczyć klasę, która rządzi i ma ubezwładniać w oporze rządzonych. Przyjacielu, napewno się otrząsnąłeś po przeczytaniu „Bezdroży egzystencjalizmu". Taki wzór człowieka? I ja, jak po koszmarze, odczytuję raz jeszcze list, który nadszedł do nas od młodej studentki socjologii. Nie domyślasz się skąd. Ze szpitala. Ciężko jej. Rodzice zginęli. Od piętnastego roku życia przebija się sama. Studiuje i pracuje. A teraz...

„Od środy przed Świętami leżę w najpaskudniejszym szpitalu warszawskim na ul. Chocimskiej. Tyfus. Jestem wściekła. Diabli biorą mój wyjazd na badania socjologiczne w Olsztyńskie, najbliższy egzamin i artykuł dla was do „Wsi". Próbowałem jeszcze czytać. Przynieśli mi koledzy książki potrzebne do artykułu, ale ponieważ od pięciu dni nic nie jem, zaczynam mieć siły niemowlęcia. Najgorsze, że w tym szpitalu chorzy mają różne przebiegi tyfusu, ostatnio prawie każdy dostaje tyfusu powrotnego, że trudno przewidzieć, kiedy się stąd wyjdzie. Gdyby normalnie — po 10—12 dniach powinna spaść temperatura (a mam 39 stop.), 25-tego, 30-tego mogłabym już wyjść". Przyjacielu. Tu niedaleko od krawędzi życia. I nasza znajoma chce wrócić do życia, ale które nie jest nicością, które nie jest samotnością człowieka. Jej życie, jak widzisz — nawskroś jest społeczne. Ono ją wypełnia. Ono nie odstępuje jej w chorobie groźnej, w gorączce, przydając blasku, jaki opromienia dziś przodowniczą młodzież.

Ale zamiast powiększać jej kadry, nie raz zobaczysz zabiegi starych instytucji, starych ideologów i wychowawców, aby ten krąg zwęzić i zadusić. Byłem podczas świąt na kilku wsiach. Słuchałem żarliwych przemówień młodych chłopskich działaczek na temat emancypacji kobiet na wsi. Jakież brawa, jaki entuzjazm kobiet i dziewcząt. „Już dawno należy się nam równe traktowanie!" A równocześnie Rostworowski (syn hrabiego?) w **„Dziś i jutro"** w imieniu interesów kościoła pisze z okazji ustawy o „Służbie Polsce" takie horrenda: „jeżeli już decydujemy się na pobór dziewcząt, bo emancypacja, bo ostatnia wojna, bo gospodarka planowa — niech będą przysposobione do **tego zawodu**, który bez nich stanie odłogiem: **zawodu żon i matek**".

Znamy tę tradycję wychowania **na płeć**, a nie na **człowieka**. Kobieta swój los materialny i pozycję społeczną zawdzięczać miała mężowi. Wnosiła cnotliwą, rozradzającą „naturę" i miała być z zasady tylko „naturą". Rzeczywiście i w zbytkach była daleko od kultury i w harówce żony chłopa czy robotnika również daleko. Komu to dziś jest jeszcze potrzebne? Reprezentantowi interesów kościoła? Że niby, gdzie nie ma wiedzy, tam jest wiara? A owszem, rozmawiałem z taką studentką polonistyki (z Mławy, przyjacielu!), która dlatego nie czyta intelektualistów katolickich (książek i pism), aby nie utracić wiary. Ona dlatego i nie bardzo czyta i nie bardzo rozumie to, co studiuje. I kiedy wróci jako nauczycielka gimnazjalna, może do Mławy — pytanie — czy nie lepiej, aby była tylko żoną i matką, wedle tradycji. Ale w takim razie tradycja (hrabiowska?) p. Rostworowskiego nie pozwala na udział kobiet w tworzeniu kultury. Do służby Polsce stanąć ma zamiast 24 milionów tylko 12. Patriotyczny apel, nie ma co. Patriotyczny, bo narrrodowe jest to, **jak było. A był zawód żony** i powiedzmy, **zawód inżyniera**. Dla mężczyzn **rozmaite**, jakich wymaga kultura, dla kobiet jeden. O chrześcijańska wspaniałomyślności! Nie trzeba, aż szukać Sartre'a. Jeśli kobieta to też człowiek, to perspektywa jednego dla nich wszystkich „zawodu" (naturalnego), otwiera również swojego rodzaju pustkę i nicość życiową. I tak było, było! Księże prałacie! Pan Rostworowski widziałby organizację „Służba Polsce" najchętniej pod komendą harcerską (i pewnie z ducha dawniejszego). Bo na tę, która powstaje składają się chłopskie i robotnicze organizacje młodzieżowe.

Z ich klasowego uświadomienia, rewolucyjnego i postępowego wpływu idzie młodzież na pracę i przeszkolenie i do terenu tych wpływów wróci w roli przodowników. A harcerstwo — mój Boże — myśli p. Rostworowski — sięgając jego początków i historii — to przecież coś z Kiplinga, z angielskiej tradycji wychowania młodzieży do imperialno-kolonialnej polityki W. Brytanii (niesławna wojna z Burami!), coś z kontynuacji Narodowej Demokracji, a bardzo wiele z drobnomieszczańskiej organizacji młodzieżowej z „ogólnym" narodem, „ogólną" cnotą i Panem Bogiem.

I wreszcie p. Rostworowski chciałby „Służbę Polsce", uczynić sektorem młodzieżowym **diecezyj i parafij.** Pomysł, nawet chrześcijański. Ale przecież — jak na wsi — mimo, że wieki całe wychowanie i kształcenie należało do plebanii, a potem bardzo zależało od niej — chłopi na tej edukacji uczyli się **cierpieć pańszczyznę** (na chwałę Bożą), nie brać przy zniesieniu pańszczyzny (w trzy ćwierci wieku po Rewolucji Francuskiej) ziemi z pańskich folwarków. Ks. Kalinka w Galicji mógł z przyjemnością stwierdzić, że w r. 1848 tylko 1/6 chłopów dostała ziemię. Dość, nie będę ciągnął tego rejestru. Morał jest i tak wyraźny. Historia posuwa się przez **nowe stosunki społeczne**, przez **nowe instytucje** i tylko dzięki temu wlewa w stare nową treść; tak pod fasadą ciągłości tradycji płynie nurt postępu. Dość polskiego koszmaru nicości i stagnacji! Nie on u nas zaważy na losach narodu. Weź, przyjacielu, ostatni numer „Wici". Odetchniesz. Już po samych tytułach: „Struktura Służby Polsce", „Jak zorganizować współzawodnictwo pracy w rolnictwie", „Organizujemy powiatowe komitety młodzieży studiującej", „Jak zagospodarowałbym własną gminę?", „Wici kształcą szoferów i traktorzystów", „Dowiedzcie się, co to monopol i monopoliści kapitalistyczni".

Organizacja „Służba Polsce" ma zaplecze społeczne. Dla niego powstaje.

Twój Piotr

Czytelnicy
piszą listy
do „Wsi"!

Henri Lecourtois

W R A K I

(„La Guerre aux Vieux") *)

WSZYSCY dobrze znali ich w tym zakątku departamentu Manche i to chyba przypadek tylko, że nie mówiono o nich. Zresztą — ludzie uczciwi nie mają własnej historii.

Zajmowali w pobliżu wybrzeża maleńki domek, głęboko osadzony w ziemi, zbudowany z szarych głazów, jak inne domki normandzkie. Pomieszczenie było mizerne: niska przybudówka, gdzie przechowywano „cidre" (kwas jabłeczny), drewno na zimę oraz trochę siana dla przekarmienia bydląt; jedyna izba mieszkalna, z łóżkiem blisko komina, z boku zaś rodzaj szopy, służącej w porze chłodów za obórkę dla krowy. Zabudowania te kryły się za murkiem, który mech porastał wilgotną, zieloną gąbką.

Ojciec Mahaut zbliżał się do osiemdziesiątki, po siódmym krzyżyku była stara Melania: gdy dochodzi się do tego wieku z prostego nawyku wlecze się pełne brzemię swojej wiecznej biedy.

Bieda! Nie można powiedzieć, aby ich oszczędzała. Starszy syn zginął na wojnie, zwanej wtedy „wielką", drugi przez łajdactwa wlókł nędzny żywot w szpitalu, trzeci wreszcie — siedział w Paryżu na dobrej rządowej posadce, ale udawał wielkiego pana, nie przyznając się do własnych rodziców.

*

Biedni od urodzenia, starzy Mahautowie nie uskarżali się na nic, nawykli do pracy i milczenia. Ponieważ w dzieciństwie nauczono ich katechizmu, który głosi, że głowy takich jak oni stworzone są, aby uginać się pod naporem wiatru — bez słowa skargi wiedli swoje ciche życie.

Mieli cztery morgi ziemi, krowę i dwie owce. Było to jeszcze za czasów przedwojennych. Gdy się jest u schyłku życia nie pragnie się gwiazdek z nieba.

Ale oto znów wybuchła wojna i przyszła raz jeszcze straszna katastrofa.

Prości ludzie nie wiedzą, dlaczego „robi się" wojnę. Decyduje się o niej u szczytów zbyt dla nich wysokich. Lecz co wiedzieli o niej dobrze oboje to to, że po raz trzeci będą ją musieli przeżywać.

Chodząc po zakupy do miasteczka Saint-Martin Melania przynosiła stamtąd nowiny. Nie wiedziało się w istocie wiele, poza tym, że miliony ludzi trwały uporczywie na granicy patrząc na siebie, jak fajansowe pieski. Opowiadano, że na froncie potrzeba było piłek do gry, kart i mnóstwa innych sporo kosztujących rzeczy, by służyły za rozrywkę dla żołnierzy.

— Cóż to ma znaczyć? — burczał stary Mahaut. — Skoro chłopcy się nudzą, trzeba ich odesłać do domu. Nie ma sensu jeździć tak daleko, żeby grać w piłkę.

Tym razem Mahaut nic już nie rozumiał. Natomiast zrozumiał wszystko pewnego pięknego dnia, w którym wiosenne słońce zdawało się grzać mocniej niż zwykle, a czas płynął uśmiechniętymi godzinami.

Tysiące ludzi padało w tym samym czasie, w którym płatki okwitłych jabłoni ścieliły się na ziemię. Stary Mahaut przypomniał sobie ponure dnie roku siedemdziesiątego. „Ta sama historia" — pomyślał. Z tą różnicą, w każdym razie, że ludzie odtąd poczynili olbrzymie kroki w sztuce zabijania swoich bliźnich.

Nareszcie pojął wszystko, biedny stary Mahaut! Zjawili się w Caen, Bayeux, Lisieux, napotykając wszędzie bramy otwarte. Jutro niewątpliwie będą tutaj. I nie ma siły, aby ich zatrzymać, nie ma żadnej siły poza kilkoma tysiącami biedaków, którzy w porywie wściekłości pozwalali miażdżyć się z heroizmu, czy z szaleństwa.

— Jesteśmy zdradzeni — stęknął starowina — zdradzeni jak w siedemdziesiątym czwartym.

A później — Melania udała się wtedy po zakupy — zobaczył ich na drodze. „Ubrani całkiem na zielono, ci Prusacy". Wstrząsnął się z wściekłości, bo fakt ich przybycia uważał za świętokradztwo w stosunku do jego normandzkiej ziemi. Nie mieli już śpiczastych hełmów z okresu tamtej wojny światowej, lecz czapki, zabawnie nasunięte na nienawistne gęby i osobliwe kaski podobne do wywróconych garnków.

Ojciec Mahaut zrozumiał, że coś się skończyło, że coś niespodziewanego i straszliwego, czego nigdy nie przeczuwał, przewaliło się nad krajem. Pośpieszył do domu, zaryglował drzwi i zupełnie sam, przy kominku rozpłakał się głośno.

Przyszło wreszcie zawieszenie broni, a z tym sytuacja głupia i niewyraźna, która nie była już wojną, nie będąc równocześnie pokojem. Ci, którzy nie wymagali zbyt wiele, mogli jeszcze wegetować, pod warunkiem niesprzeciwiania się i milczenia.

Syn z Paryża nagle zaczął do nich pisywać i to listy znacznie dłuższe, pełne czułostek, upstrzone co parę słów „drogim ojcem" i „kochaną mamą". Pod koniec, ale na miejscu widocznym umieszczał prośbę o paczkę żywnościową.

Mahaut kiwał głową, ale Melania, zawsze jednako dobra, wysyłała pakiety.

Inna jeszcze, istotniejsza uciecha czekała ich pewnego dnia.

Listonosz, który nieraz zatrzymywał się u nich dla wypicia szklaneczki jabłecznika powiedział im, że rząd mimo wszystko postanowił udzielać starcom pomocy.

Mahaut ubrał się odświętnie i pośpieszył do mera po odpowiednie zaświadczenia. Ileż trzeba było czasu, do jasnego pioruna, ile tłumaczeń i zachodów, aby od ludzi w owych biurach otrzymać te marne grosze. Zupełnie, jakby to szło z ich własnych kieszeni.

A tymczasem nieszczęścia krążyły po okolicy.

Przede wszystkim pojawili się robotnicy nie wiadomo skąd, ludzie wszelkich ras, i mówiący najrozmaitszymi językami, którzy zamienili wybrzeże w nową wieżę Babel o niemieckim mózgu; zaraza rozprzestrzeniała się coraz bardziej wdzierając się w ciche normandzkie sady, gdzie drzemały cieniste jabłonie. Drzewa padały pokotem, niegodziwie podcinane uderzeniami świętokradczych siekier... Nawet trawa zmarniała.

A potem nadeszły rzeczy stokroć gorsze. Pewnego ranka nadleciały trzy wywiadowcze samoloty brytyjskie dla wypatrzenia celów. Na rezultaty nie czekało się długo. Dokładnie w dwa dni później lawina bomb rozniosła gniazdo niemieckiej artylerii, a przy tej okazji zagrodę Mouchelów, grzebiąc pod jej gruzami całą rodzinę. Starzy Mahautowie przechorowali to zdarzenie.

Nazajutrz, w południe, mer zjawił się w ich domu.

Stary Mahaut siedział przy stole i kroił chleb. Melania, z nogą na prętach kominka, wycierała naczynia:

— Dzień dobry, panie merze — rzekł, podnosząc się Mahaut, — a widzi pan, jakbym zgadł, że pan przyjdzie... niech pan siada, proszę.

Zaległo milczenie. Kiedy na wsi pan mer zjawia się w czyimś domu, nie wróży to nic dobrego, a wyraźnie pachnie nieszczęściem.

Urywany i zadyszany zabrzmiał głos starego:

— Eh, papier... nie warto. Nic się na tych diabelnych papierach nie wyznaję. Powiedzcie mi tylko, ile czasu mi dadzą.. zechcą nam dać... na opuszczenie.., naszego domu?,,

Mówiąc jeszcze, zbliżył się do komina, gdzie na kołku wisiał kubek do jabłecznika. Ramię, żylaste jak pień jabłoni, drżało kilka chwil, mocując się przy zdejmowaniu naczynia, które wreszcie postawił przed gościem.

— Jutro w południe — prawie szeptem powiedział mer — Będą tutaj, mój biedny ojcze, Mahaut.

Starzy znieruchomieli, z oczyma nieprzytomnymi czekali na wyjaśnienie, ciągnął dalej:

— Mój woźny przybędzie wkrótce i zabierze na wóz wasze graty. Złoży się je na merostwie. Przecież dom ten należy do wszystkich, może zatem być potrosze i waszym.., A później... będę próbował coś zrobić... i może uda się umieścić was u mojego brata w pobliżu Valognes. To niedaleko... Porządny człowiek, będzie wam dobrze.

Mer łyknął jabłecznika i mankietem obtarł sobie wąsy.

— Więc, moi mili, — podjął — muszę już iść. Mam jeszcze uprzedzić innych... Nie trzeba tracić ducha Odbuduje się domy, kiedy wojna się skończy i życie powróci do dawnego... jak przedtem...

Stary Mahaut potrząsnął głową:

— Bóg wam zapłać, panie, Ale... widzi pan... i pan zresztą to wie dobrze, do pioruna, nie przymawiając.., stare jabłonie, które się wykopuje z korzeniami nie przyjmą się na innym gruncie. Nawet w najlepszej glebie..,

Mer zaprotestował.

— Nie, nie, panie — ciągnął żałośnie Mahaut — starzy ludzie jak my — tego się tak łatwo nie przesadza a tamci to zbrodniarze! Z tymi nieszczęsnymi armatami... czy nie mogą ich gdzie indziej ustawiać? Ziemia jest przecie dość szeroka na Boga! A to przecie nasz pierwszy dom... ostatni nie jest już daleko...

Mer opróżnił swój kubek wielkimi łykami, jak człowiek, któremu spieszy się w dalszą drogę... Lecz kubek starego Mahaut pozostał nietknięty na stole.

Na dworze mdły kapuśniaczek, odwieczny gość Normandii parował wśród liści drobnym pyłem wodnym. Ponad ziemią szedł daleki pomruk kanonady od strony Cherbourga, lub może od Maupertuis... Cóż to mogło znaczyć ostatecznie? To przecie wojna, ta przeklęta ladacznica, która zdawała się mówić jeszcze, że jest przyczyną tych wszystkich nieszczęść.

A kiedy zapadł wieczór, czując swą bezsilność wobec losu, jak para rozbitków znaleźli się sami wśród pustego domu.

Pakowanie... To nie trwało zbyt długo... Biedni ludzie nie posiadają sprzętów zbytecznych, lecz to okno — obecnie bez zasłony, te wypłowiałe miejsca po obrazach, ta ogłupiająca pustka w kącie, gdzie stało łóżko, te zwisające długie płachty pajęczyny... co za przerażające osamotnienie!

Przebieg 50 lat ich życia rodzinnego mieli teraz przed oczyma. Wielki dębowy stół, który nakrywano białym obrusem w dniach wielkich świąt i uroczystości, półka na naczynia poczerniała od dymu komina, z filiżankami malowanymi naiwnie jak obrazki dla dzieci; stojący zegar — świadek ich spokojnego życia, które mierzył wydzwanianiem godzin i tykaniem wahadła. I wszystko to otaczało ich codziennie i wypełniało ich skromne serca tak, jak wypełniało ich dom.

Gdy to wszystko zniknęło doznawali wrażenia, jak gdyby smagano ich ciało rozpalonymi prętami.

Ostatnia noc! Woleli położyć się na ziemi na rozesłanym sianie, aniżeli spędzić noc u sąsiadów. Byli jeszcze u siebie.

*

Po raz dwudziesty stary Mahaut wyciągnął zegarek. Bezlitosna wskazówka posuwała się ku godzinie wygnania.

Dziesiąta... Od wczoraj nic nie mieli w ustach. Nie czuje się głodu, gdy człowiek ma zmartwienie. Oboje stojąc przy kominie przyglądali się ciepłemu popiołowi oszraniającemu resztki żaru.

Kroki na drodze... Stąpania ciężkich butów! Potem śmiechy, gardłowe głosy... Starzy spojrzeli po sobie... To oni! Już!... Niemożliwe... To przecież jeszcze nie ta godzina... A jednak... A, kanalie! Nawet godzinę mają inną, niż reszta ludzi!...

Dały się słyszeć uderzenia butów o przeskakiwany murek. Krowa, przywiązana do drzewa, wystraszona, szarpnęła się na powrozie. Doszedł ich jeszcze brutalny głos:

„Heraus, heraus!"

Mahaut wziął z kąta swój stary kij i przymocował doń węzełek z odzieniem:

— Chodźmy, matko — mruknął — skończyło się. Teraz już trzeba iść.

Zrobił dwa kroki słaniając się, lecz natychmiast opanował się i wyprostował. Trzeba być godnym, do licha, nawet jeśli się jest biednym człowiekiem, szarym, nic nieznaczącym Francuzem, którego wróg wyrzuca z jego własnego domu. Ręka w rękę staruszkowie opuścili domostwo.

Zatrzymali się na podwórku, obok krowy, oszołomieni i nieszczęśliwi, czekając nie wiadomo na co, na progu swojej kalwarii.

Dokoła nich jaśniała pogoda... Łagodne światło spokojnego dnia kładło się szerokimi plamami wśród drzew i przesiewało się poprzez strzępy unoszącej się jeszcze nocnej mgły.

Naokoło nich stare jabłonie obsypane kwiatem, którego barwa przebiegała od białej do różowej, gdzie niegdzie poplamionej czerwienią, roztaczały niesłychany przepych blasków i woni. Dźwięki dzwonu dochodziły dalekie i poważne, wywołując bajkowe złudzenie, że to kwietne jabłonie poruszane wiatrem wydzwaniają maj w Normandii.

Kwiaty, dzwony i ludzki ból... I nagle Mahaut pomyślał, że dobrze byłoby zasnąć na zawsze pod osłoną rozłożystych jabłoni, pod ich kwietną woniejącą kopułą.

Nie zauważyli nawet, że ludzie w zielonych mundurach popędzali ich i że znaleźli się na skrzyżowaniu dróg.

Obudził ich gwałtowny wstrząs powietrza, po którym ziemia pod ich nogami drgnęła niesamowitym dreszczem.

Mahaut instyktownie odwrócił głowę:

Nic nie pozostało z małego domku. Nieforemna kupa gruzów i rozwalonych kamieni.

50 lat pracy, prawie jeden dzień znoju na każdy kamień domku, wszystko to rozrzucone po ziemi — śmieszny stos bezdusznych głazów.

Wtedy — w ich zmęczonych oczach ukazał się osobliwy płomień najgłębszej ludzkiej rozpaczy.

Nie znaleźli już żadnego słowa nienawiści, ani jednej łzy pod powiekami. I jak dwa dęby nadludzką siłą opierające się cyklonowi ruszyli na dalszą wędrówkę.

Szli nie widząc i nie słysząc. Beznadziejność nie ma ani uszu, ani oczu.

Szli wolno, krok za krokiem, ciągle przed siebie, niepotrzebni i ponurzy.

Czy słyszeli odległy huk motorów, zbliżający się coraz bardziej, i pierwsze wystrzały artylerii przeciwlotniczej? Czy widzieli zlewające się z tłem jasnego nieba samoloty, małe krzyżyki rozbłyskujące w blaskach słońca?

Potworny świst przeszył powietrze, coś opadało lecąc przerażająco szybko... potężny podmuch śmierci, piekło, rozpętane na ziemi... Rozbłysk ognia, potężne uderzenie powietrza i huk. A potem ogarnęło ich wielkie milczenie niezgłębionej wieczności.

Staruszkowie zginęli obok swej krowy i nie zbyt daleko od swego domu.

Wielu zginęło w ten sposób.

Żaden komunikat nie obwieścił ich zgonu.

Tłumaczyła
Małgorzata Hołyńska

*) Paryski tygodnik „La Marseillaise" („Marsylianka") zamieścił w sierpniu 1946 r. opowiadanie Henri Lecourtois p. t. „La guerre aux vieux" — („Wojna wobec starców"), które podajemy w przekładzie polskim.
Jest ono dobrym przykładem nastrojów drugorzędnej literatury francuskiej, zapóźnionej ideologicznie i artystycznie, — przeciętnej beletrystyki, zapełniającej łamy czasopism.
Francja — kraj w jarzmie dolara, rzutujący w koncepcje egzystencjalizmu swój lęk i poczucie beznadziejności, odsłania się także w tym urywku prozy, reprezentującym po-remarque'owski nurt literatury o wojnie „w oczach szarego człowieka", literatury niezrozumienia, zagubienia, lęku, literatury klęsk i zgonów, o których nie donoszą komunikaty wojenne. Red.

Listy polityczne

SŁUŻBA POLSCE

Drogi Stary Przyjacielu!

Pamiętasz, z jakim trudem Tobie, wiejskiemu nauczycielowi, udało się przez dobrych kilka lat (1931—39) wyprowadzić zaledwie paru biedniackich chłopskich synów z przeludnionej kieleckiej wioski, gdzie sześcio- czy siedmio-osobowa rodzina na trzech, czterech morgach to była właściwie norma?

Pamiętasz, ile Cię to kosztowało, by mnie czy Frankowi P. wyprosić zniżkę czesnego w gimnazjum naszego powiatowego miasta, a ile my sami nałykaliśmy się gorzkiego wstydu, nim w swoich cajgowych portkach dobiliśmy do matury. Józek R., który „sam z siebie" jeszcze na wsi konstruował nieudolne modele samolotów dobrnął tylko do 6 klasy. Jego piątki z matematyki, chemii i fizyki nie wybroniły go od przerwania nauki; żarty nędzą, bez możności powrotu do „rodzinnej chaty", gdzie dostatecznie dużo rąk wyciągało się do miski z suchymi kartoflami „awansował" po długich staraniach na praktykanta w Urzędzie Skarbowym: — tak się skończyły jego marzenia o stalowych konstrukcjach.

Świat ze swoimi różnorodnymi możliwościami szczelnie się wtedy przed nami zamykał, trudno było odemknąć go nam Tobie, źle u władz powiatowych za radykalizm notowanemu, wiejskiemu nauczycielowi.

Pamiętam jak bezsilnie załamywałeś przed nami ręce, wyliczając przybyłym na wakacje, ilu tu naszych rówieśników kwasi się w wiejskiej kawalerce, nie wiedząc co z sobą począć, gdzie znaleźć dla siebie miejsce pod słońcem; mówiłeś nam wtedy, że chłopców tych żżera nieokreślone myślowo a odczuwane głęboko poczucie bezużyteczności społecznej, a zatem i swojej klasowej niższości. Było w naszej wiosce koło wiciowe, któremu Ty patronowałeś, było trochę książek, pobudzałeś do czytania, urządzaliście parę przedstawień co roku, ale to wszystko nie zmieniało stanu rzeczy, że chłopcy i dziewczęta, których uczyłeś mądrej sztuki czytania i pisania, po opuszczeniu Twojej szkółki więdli kulturalnie, bo ustrój nie stwarzał dla nich żadnych możliwych dróg społecznego awansu.

Piszesz mi dzisiaj, że z naszej wioski zgłosiło się na pierwszy turnus ochotniczo do SP ośmiu chłopaków i dwie dziewczyny.

Ejże! Stary przyjacielu, jakżebym Cię rad uściskać, gdy mówisz mi w liście, że zaczynasz coraz bardziej prostować pochylone plecy wiejskiego pedagoga, że Twoje nogi starego już bądź co bądź człowieka stają się na nowo sprężyste, gdy niosą Cię do domu ludowego, gdzie chłopakom i dziewuchom wiejskim możesz długo opowiadać o nowej Polsce, która tysiącem możliwości otwiera się przed nimi.

Widzę Cię doskonale, jak przed chłonącą Twoje słowa gromadą kreślisz wizję tętniącego pracą Śląska, gdzie kopalnia — kopalni rzuca wyzwanie, gdzie gęste dymy z martenowskich pieców świadczą, że hutnik śląski bardzo się śpieszy, żeby na czas były stalowe wlewki, z których tokarze warsztatów gliwickich wytoczą koła, czeka na nie w wielkiej hali wrocławskiego PAFAWAGU monter, który sześćsetną węglarkę wypuści w tym miesiącu. Chłopcom oczy się iskrzą, gdy Ty szerokimi ruchami przesuwanych rąk pokazujesz, jak coraz więcej tych samych czerwonych węglarek z białym u dołu napisem: Pafawag — Wrocław toczy się w kierunku na Szczecin, Gdańsk i Gdynię; są już pełne węgla, który z tysiącem górników „urobił" Pstrowski i bracia Bogdułowie. Mówisz dalej, jak nasze porty huczą załadunkiem, napełniając te same wagony szwedzką rudą i marokańskimi apatytami — będą z tego na wasze gospodarki traktory, nawozy sztuczne.

Chłopcy! — mówisz wreszcie wzruszonym głosem — Wy także będziecie mieli w tym wszystkim udział. W tym jeszcze roku będziecie budowali domki górnicze na Śląsku, by pomieściły w Polsce naszych braci z Westfalii, którzy w latach międzywojennych musieli opuszczać przeludnione wsie z województwa warszawskiego, krakowskiego czy kieleckiego, by w kopalniach Belgii, Francji czy Niemiec szukać pracy i chleba. Wy dopomożecie górnikom budując „kolej piaskową", która z pustyni Błędowskiej dostarczy piasku do zamulania w kopalniach wyrobisk, Wy usunięcie gruzy z Gdańska i Szczecina, przeprowadzicie roboty regulacyjne Wisły, by wiosenne powodzie nie zalewały setek nadwiślańskich wiosek, Wy będziecie osuszać żuławy, by dziesiątki kilometrów kwadratowych najżyźniejszej ziemi wrócić krajowi, Wy wreszcie podźwigniecie z gruzów stolicę, budując wielką arterię: Wschód — Zachód. Szeroko pracami otwiera się dla Was Ojczyzna.

Wiem, że zawsze kochałeś młodzież, chciałeś wyprowadzić ją na twórcze pozycje, wierzyłeś, że zawsze będzie się ona solidaryzowała z tymi, którzy pragną budować lepszy, sprawiedliwszy świat — stąd Twój dzisiaj entuzjazm.

Idea instytucji, jaką jest „Służba Polsce" wyszła od nas samych. Obserwowałeś na pewno z uwagą, jak młodzież zorganizowana w ZWM-ie, „Wiciach", czy OM TUR-ze od dłuższego już czasu zgłaszała potrzebę włączenia się w proces odbudowy kraju, wychodząc z założenia, że „nie można polepszyć duchowo człowieka, nie zapewniwszy mu przedtem minimum warunków materialnych egzystencji". Polepszyć warunki materialne całego społeczeństwa — oto pierwsze zadanie, jakie postawił sobie nowy ustrój. Młodzież nasza nie chce w nowych warunkach pozostawać na pozycji „przygotowującej się tylko do życia", ona już dzisiaj chce w nim brać udział, chce stanąć obok starszego pokolenia w poczuciu także własnej odpowiedzialności za losy kraju.

Pozdrów, przyjacielu, Twoje dziewczęta i Twoich chłopców ode mnie, od nas. Witamy ich w Służbie Polsce.

Twój Leonard



Jean Paul Sartre

rys. B. Milleret

Witold Jedlicki

BEZDROŻA EGZYSTENCJALIZMU

Jean Paul Sartre, czołowy współczesny filozof i pisarz francuski, kontynuujący tradycje dekadenckiej myśli burżuazyjnej. Rozpowszechniana przezeń filozofia egzystencjalizmu, — o której poniżej — jest najlepszym przykładem schyłku i krańcowego upadku burżuazyjnej filozofii idealistycznej. Metafizyka Sartre'a swym społecznym wydźwiękiem wspiera we Francji wszelakie reakcyjne koncepcje trzeciej siły, za którymi niedawno opowiedział się publicznie sam Sartre.

Sartre jest autorem powieści: „Droga do wolności", „Mdłości", tomu opowiadań: „Ściana" i kilku szeroko rozpowszechnionych dramatów, między innymi „Drzwi zamknięte" i „Ladacznica z zasadami". W. J.

I

ONTOLOGIA

W tzw. technicznym obrazie świata traktujemy każdy przedmiot jako coś, co wytwarzane bywa w pewien sposób i ma określoną użyteczność. Istota tzn. zbiór przepisów i jakości które pozwalają go wytworzyć — poprzedza istnienie. Do pojęcia ogólnego przedmiotu i do techniki wytwarzania go odwoływać się musi twórca.

Taki sam jest stosunek między Bogiem Twórcą i człowiekiem, jego dziełem u Descartes'a i Leibnitz'a. Najpierw ogólne pojęcie, potem przedmiot.

Lecz i u ateistów (Voltaire, Diderot, Kant) istota poprzedza istnienie: człowiek jest jedynie okazem pojęcia ogólnego — natury ludzkiej. Jakości istnienia są te same dla wszystkich ludzi.

Egzystencjalizm głosi, że przy założeniu, że Boga nie ma, istnieje wyjątek od tej zasady: byt, w którym istnienie poprzedza istotę (l'existence précede l'essence), który istnieje, nim może zostać określony przez pojęcie. Bytem tym jest człowiek, rzeczywistość ludzka. Człowiek najpierw pojawia się na świecie, później się określa. Nie ma natury ludzkiej, bo nie ma nikogo ktoby ją uprzednio począł pojęciowo. Póki człowiek nie jest określony, jest niczem. Stąd wynika jedna z zasadniczych tez Sartre'a: **człowiek jest jedynie tym, czym się tworzy sam.**

Byt w pełnym tego słowa znaczeniu — mówi dalej Sartre — to byt w sobie (en soi). Jest to byt transfenomenalny. O tym bycie możemy powiedzieć jedynie, że istnieje. Jest to byt martwej pełni (dosłownie!), stały, ciężki, zbyteczny, être de trop. Widać tu hipostazę istnienia jakiegoś przedmiotu, czegoś, co ukrywa się poza zjawiskiem i poza rzeczami. Nie jest to kantowskie Ding an sich ale être en soi — jakiś najogólniejszy powszechnik, który wszystko partycypuje.

Intuicja — powiada Sartre — odkrywa ów byt transfenomenalnych zjawisk: **w sobie** i drugi byt transfenomenalny świadomości: **dla siebie (pour soi).** Tu objawia się zasadnicza różnica pomiędzy człowiekiem i innym bytem. En soi — to ów byt niemogący działać, obłożony (empâté) sobą samym. Byt, który jest tym, czym jest. Pour soi czyli świadomość ludzka jest to choroba bytu, umożliwiona jedynie przez powstanie w bycie szczeliny nicości (dosłownie!!!). Jesteśmy nieustannie ugniatani nicością. Nicość dręczy byt. Niebyt jest obecny wiecznie w nas i poza nami. Nicości nie ma obok bytu, poza nim, ale w nim samym, w jego sercu tkwi ona jak robak (dosłownie!!!).

Ponieważ nicość nie istnieje, braknie jej sił, aby się unicestwić. Zjawia się ona tylko przez człowieka, przez pour soi. Mówiąc o bycie stwierdzamy, że coś nas odeń oddziela. To nic — konkluduje Sartre — to właśnie nicość. Człowiek jest swoją własną nicością.

Człowiek jest swoim własnym rzutem (projet) w przyszłość. Nie ma natury ludzkiej, w jakikolwiek sposób jego przyszłość określającej. Człowiek wyrywa się z przeszłości, pozostającej w en soi, ucieka w teraźniejszość i wyrywa się w przyszłość, nigdy jej nie mogąc osiągnąć.

Podobnie u Heidegger'a i Jaspers'a — człowiek jest sich-vorwegsein, être-en-avant-de-soi, bytem trascendującym ponad istnienie ludzkie. Zawsze więc jest czymś więcej, niż jest. Tu wypełnia się sens słynnego zdania: człowiek to byt, który jest tym, czym nie jest, a nie jest tym, czym jest.

Nie tylko ten ciężki bezwładny byt jest niepotrzebny i absurdalny. Człowiek jest również bytem absurdalnym i przypadkowym. Je suis de trop — orzeka Sartre. Każde istnienie jest zbędne, rodzi się bez racji i bez racji umiera.

Przypadkowość bytu (contingence de l'être) w katolickiej odmianie egzystencjalizmu ma źródło w nieuzasadnionym akcie twórczym stworzenia (Kierkegaard). Dla egzystencjalizmu ateistycznego przypadkowość to brutalna absurdalność, czysty irracjonalizm istnienia.

Owa rzeczywistość ludzka, byt, który nie koincyduje z sobą nieustannie dąży do tego, aby stać się tym, czym jest. Chcemy być identyczni z sobą, stać się bytem en soi nie przestając być pour soi. Pour soi to tylko rzut ku jedni en soi i pour soi; ku Bogu. Ale Bóg jest pojęciem sprzecznym. Dążymy zatem do własnej klęski. Dopiero śmierć czyni nas czystą przeszłością, bytem en soi. Historia każdego życia to historia porażki. Skazani jesteśmy na nieustanne gonienie za własną zagładą i na chęć do takiej gonitwy.

Już u Kierkegaarda — śmierć to najwyższa możliwość człowieka, najbardziej osobista i najbardziej absurdalna (podobnie jak narodziny) obecna w każdej chwili życia, choć usiłuje się zatłumić działaniem. Ale Kierkegaard otwiera jeszcze perspektywy, u Sartre'a śmierć jest też przypadkowa, ale może być celem życia.

Świadomość usiłuje więc przez refleksję być tym, czym jest dla siebie samej, przez stanie się en soi pod swym własnym spojrzeniem. Ale wtedy musiałaby się stać inną, niż swój przedmiot a zatem unicestwić się. To przedsięwzięcie rozszerza jej wewnętrzny rozłam. Trudno też stać się en soi dla drugiego. Będąc przedmiotem pod spojrzeniem innego człowieka poznaję, że on jest przedmiotem. Dla drugiego jestem en soi, ale tylko w miarę, o ile jestem nie tamtym, a on istnieje jako nie-ja, więc przez podwójną negację: wewnętrzną i wzajemną.

Uniwersalnym najwyższym dążeniem człowieka, to stać się Bogiem, ensi causa sui: **bytem, który sobie wystarcza.** Cała rzeczywistość ludzka to owa namiętność zatracania się jako człowiek, aby narodził się Bóg. Ale idea Boga jest sprzeczna i napróżno ponosimy porażkę, która musi stać się nieuchronna. Człowiek jest bezużyteczną namiętnością, Jego ideał jest sprzeczny a musi do niego dążyć. Oto tragedia człowieka.

Klucz do istnienia — resumuje Sartre — to absurdalność. Niemożność wyjścia z nieustannych, nieuchronnych konfliktów człowieka.

II.

ETYKA

Człowiek jest w pełni odpowiedzialny za swoje istnienie — oto podstawowa zasada etyki Sartre'a.

Nie ma schronienia w determiniźmie. Determinizm to azyl, w który człowiek ucieka przed straszliwą odpowiedzialnością.

Wolność to właśnie wprowadzenie „nic" pomiędzy motyw i czyn, cięcie nieistnienia między przeszłość i przyszłość (dosłownie!!!) Lękamy się tej wolności rodzącej nicość.

Jesteśmy skazani na wolność — fatalne unicestwianie się. Wolność rozciąga się na wszystko, nie tylko na akty dowolne; wszystkie moje postawy emocjonalne są wybrane wolno i świadomie. Wszystkie działania wyrażają więc wolność, są to moje rzuty ku sobie. Rzuty absurdalne, bez racji, bo czymże ja jestem, jeśli nie tą właśnie absurdalnością. Nie ma w tej wolności ograniczeń, bo każda sytuacja rzekomo ograniczająca powstaje też z wolnych działań. Odpowiadam za wszystko: miejsce urodzenia, przeszłość, przedmioty otaczające mnie.

Człowiek zmuszony jest do nieustannego wyboru. Wybierając siebie, wybiera wszystkich ludzi, bo tworząc wzór człowieka, jakim chce się być, tworzy się takiego, jaki wedle niego powinien być. Człowiek jest więc odpowiedzialny za wszystkich ludzi. Wybiera zawsze dobro rzekome i zarazem określa wartość tego, co wybiera. Jeśli wybieram jakiś światopogląd — mówi Sartre — chcę go dla wszystkich. Żeniąc się, narzucam monogamię wszystkim. Kłamca przypisuje kłamstwu walor uniwersalny. Odpowiedzialność moja angażuje przeto całą ludzkość. Aktem jednostkowym staję się prawodawcą całej ludzkości. Świadomość tej głębokiej odpowiedzialności za swoje czyny budzi straszliwy niepokój i trwogę. Oto słynna angoisse Sartre'a, jeden z podstawowych elementów życia. Bo przecież człowiek nie ma żadnego oparcia. Jest całkowicie opuszczony. Opuszczenie (délaissement), to drugi obok trwogi podstawowy element ludzkiego życia. Świadomość pełnej wolności, braku uzasadnienia własnego istnienia, poczucie własnej zbędności powoduje owo opuszczenie. Każda chwila tworzy na nowo owo opuszczenie, wydając człowieka bezbronnego na łup światu.

Warto by przytoczyć, co mówi doktryna Sartre'a o stosunkach między ludźmi:

Pierwszą postawą wobec drugiego jest miłość, lecz i ona jest sprzeczna, bo każda ze stron wymaga od drugiej miłości bez wymagań — powstaje więc jakby gra postawionych na przeciwko siebie luster. Podobnie żądza płciowa chce chwycić drugiego poprzez ciało. Lecz i to daremny trud. Nie mogę zjednoczyć się z drugim człowiekiem (coś jak gdyby Przybyszewski) — chcę go unicestwić. Rodzi się druga postawa: nienawiść. Ale choćbym zabił wszystkich ludzi, nie przeszkodzę temu, że oni byli i mój byt był ich przedmiotem. Nienawiść to ostatnia próba rozpaczy. Ale i ona zawodzi i trzeba wrócić do swego zaklętego koła.

Nie ma porozumienia między ludźmi. Nie ma rzeczywistości społecznej. Rzeczywistości „my", jak ją nazywa Sartre. Nie mogę też liczyć na wsparcie innych w działaniu. Mogę stwierdzić, co ludzie robią teraz, ale nigdy nie mogę przewidzieć, co zrobią jutro.

Samotność Sartre'a ma charakter absolutny. Ona jest główną przyczyną cierpienia ludzkiego. Dlatego to trzeba za punkt wyjścia brać jedynie „cogito" kartezjańskie. Tu człowiek sięga siebie samego, wszystko poza tym jest tylko prawdopodobne. Aby móc to „prawdopodobne" określić, poznajemy „prawdziwe" — swoje „cogito". Przez to odkrywamy nie tylko siebie, lecz i innych, jako warunek swego istnienia. Choć nie ma natury ludzkiej, jest pewna uniwersalność: aprioryczne granice, określające sytuację człowieka w świecie: konieczność przebywania w świecie, w środowisku innych, nieuchronność śmierci. Wszystko czyni się względem tych granic, aby je przekroczyć, odsunąć, zaprzeczyć im, czy przystosować się, że zaś te granice są wspólne, przeto każdy rzut jednostkowy ma walor powszechny. Jest to powszechność ludzka, jednak nie dana, ale wiecznie tworzona. Tu objawia się charakter absolutny każdego czynu. Ów absolutny charakter przeraża jednak, łączy się bowiem z koniecznością wyboru. Powstrzymanie się od wyboru, to już wybór, trzeba wobec wszystkiego zająć stanowisko, przyjąć odpowiedzialność za zaangażowanie w danym czynie całej ludzkości.

A w działaniu nie ma się do czego odwołać: ani do rady kogoś autorytatywnego, bo sam wybór autorytetu określa niejako charakter rady ani do własnych uczuć; bo jak zmierzyć wartość uczuć, pchających do działań sprzecznych? Przy tym nader często uczucie tworzy się dopiero w czasie czynu, nie można się więc do niego odwoływać uprzednio. Trzeba się więc ograniczać tylko do własnej woli, bo na nic poza sobą liczyć nie sposób. Oto sens trzeciego z podstawowych elementów ludzkiego życia — rozpaczy (désespoir).

Rozpacz płynie z wolności nieograniczonej. Ale z drugiej strony tej wolności trzeba chcieć — bo człowiek jest twórcą wartości. Chcemy wolności dla niej samej, wolności, której musimy chcieć dla siebie i dla innych. Czyni to właśnie wybór wartości.

Gdy więc konieczność działania sprawia tyle cierpień, czy nie lepiej się od działania powstrzymać? Nie — powiada Sartre — to, nic, że czyn jest beznadziejny. Aby podjąć działanie, nie trzeba mieć nadziei. Nie wiem, jakie skutki może mieć moje działanie dla innych, jestem bez złudzeń. Ale działać muszę, bo człowiek jest tylko zbiorem czynów. Swoim życiem — istnieje o tyle, o ile się realizuje — nie można mówić o dyspozycjach czy możliwościach niewyzyskanych w człowieku. Niewyzyskane, to znaczy, że nie ma ich. Nie ma geniusza takiego, który mógłby być, jest tylko ten, który wyraża się w dziele. Geniusz to zbiór dzieł. Człowiek swoim życiem zakreśla swoją sylwetkę; jest tylko zbiorem umów i przedsięwzięć. Trzeba więc działać, aby być.

Człowiek jest za siebie w pełni odpowiedzialny, nie może powoływać się na dziedziczność czy środowisko. Jest tym, czym się stworzył. Np. tchórzem nie jest z temperamentu, z góry, jest nim dopiero po dokonaniu odpowiednich czynów. Samo życie nie ma sensu; nadaje mu się go dopiero poprzez czyn. Oto wartość egzystencjalizmu — mówi Sartre — przeciwstawia się on kwietyzmowi, bo określa człowieka przez działanie.

Trzeba działać. Wszystko jedno co człowiek robi, byle robił, byle angażował się, nie wierząc w cel, do którego zmierza.

Warunki czynu są tak samo niezmienne, jak niezmienne są konieczności i sytuacje człowieka. Problemy moralne nie zmieniają się. Dlatego egzystencjalizm nie wierzy w postęp.

III.

FILOZOFIA ZAGROŻONEJ KLASY

Krytyka doktryny takiej, jak egzystencjalizm może być dwojaka; niesłychanie trudno zwalczać ją merytorycznie, punkt po punkcie. Nie sposób przecież prowadzić roztrząsania na temat, czy istotnie byt transfenomenalny jaźni jest bez immanentnej koincydencji (dosłownie!). Przy rozważaniu takich problemów staje się jasne, że olbrzymia część metafizyki egzystencjalizmu to odpowiedzi na zagadnienia pozorne i rozwiązywanie problemów wadliwie postawionych. Krytyka musi się tu więc ograniczyć do krytyki metodologicznej, ogólnej, wykazującej braki w sformułowaniach, dowolność w operowaniu terminami itp.

Ale krytyka powinna tu mieć przede wszystkim charakter utylitarystyczny: może wykazywać, jakie skutki pociąga za sobą taki stosunek do życia, taka postawa życiowa. Doktrynie można zarzucać prowadzenie do takich to a takich zachowań się ludzkich i oskarżać ją o to. Z drugiej strony warto zwrócić uwagę na genezę tej teorii, zająć się zbadaniem, czemu dziś, w chwili, gdy jednak na całym świecie otwierają się nowe perspektywy, możliwości, gdy cały świat wkracza na lepsze drogi, czemu popularność zyskuje doktryna głosząca skrajny pesymizm, czemu poklask zdobywa postawa, która w życiu widzi jedynie tragizm nieustannych sprzeczności.

Ten obraz życia jest nader charakterystyczny dla kogoś, kto nie pasuje do świata, kto czuje się w nim anachronizmem. Jest to filozofia klasy społecznej, skazanej na zagładę, klasy mieszczańskiej. Tym tłumaczy się jej popularność właśnie w tych sferach.

Mieszczaństwo kapitalistyczne pozostaje w nieustannym konflikcie ze światem, konflikcie, który rośnie, takie mieszczaństwo nie pasuje do świata istniejącego, jego wysiłki są bez perspektywy, ono buntuje się przeciw determinizmowi, który stawia je przed koniecznością zagłady i kapitulacji. Nie determiniści uciekają do determinizmu jako azylu przed odpowiedzialnością, ale dla egzystencjalizmu indeterminizm jest azylem przed koniecznością. Ta klasa uważa się za wolną bez granic, ale nie wie co ma począć z tą wolnością. Działa bez celu, przeciwstawia się kolektywizmowi, który jest charakterystyczny dla nadchodzącej epoki. trawi się w bezużytecznych namiętnościach, jej ideałem jest zasada samowystarczalności. Ta klasa jest zbędna: może ona rzeczywiście czuć trwogę, osamotnienie, rozpacz, niemożność osiągnięcia szczęścia.

Dziś, gdy zakładamy podstawy ustroju, opartego o pracę uspołecznioną, o zorganizowaną współpracę w najszerszym rozumieniu tego słowa, klasy obumierające, które tracą energię w bezpłodnym pesymiźmie, zdając sobie sprawę z nieuchronnej zagłady wydają filozofię tragizmu, przystosowaną do jej beznadziejnej sytuacji. Niepowstrzymane nadchodzenie ustroju, który musi skazać je na śmierć, a w związku z tym rozpaczliwy konflikt między swoim istnieniem, a tym światem, światem, gdzie klasy te są już niepotrzebne.

Niesłuszny jest pogląd katolików, głoszących, że doktryna Sartre'a ukazuje nam obraz spustoszenia, jaki czyni wyrzeczenie się Boga. Istnieje przecież katolicka odmiana egzystencjalizmu, a zresztą Sartre sam kiedyś pisał, że istnienie Boga nic nie zmieniłoby w sytuacji człowieka.

Ale sprawa ma jeszcze drugi aspekt. Możemy rozpatrywać ją z punktu widzenia utylitarnego: jakie będą jej skutki w konkretnej rzeczywistości społecznej.

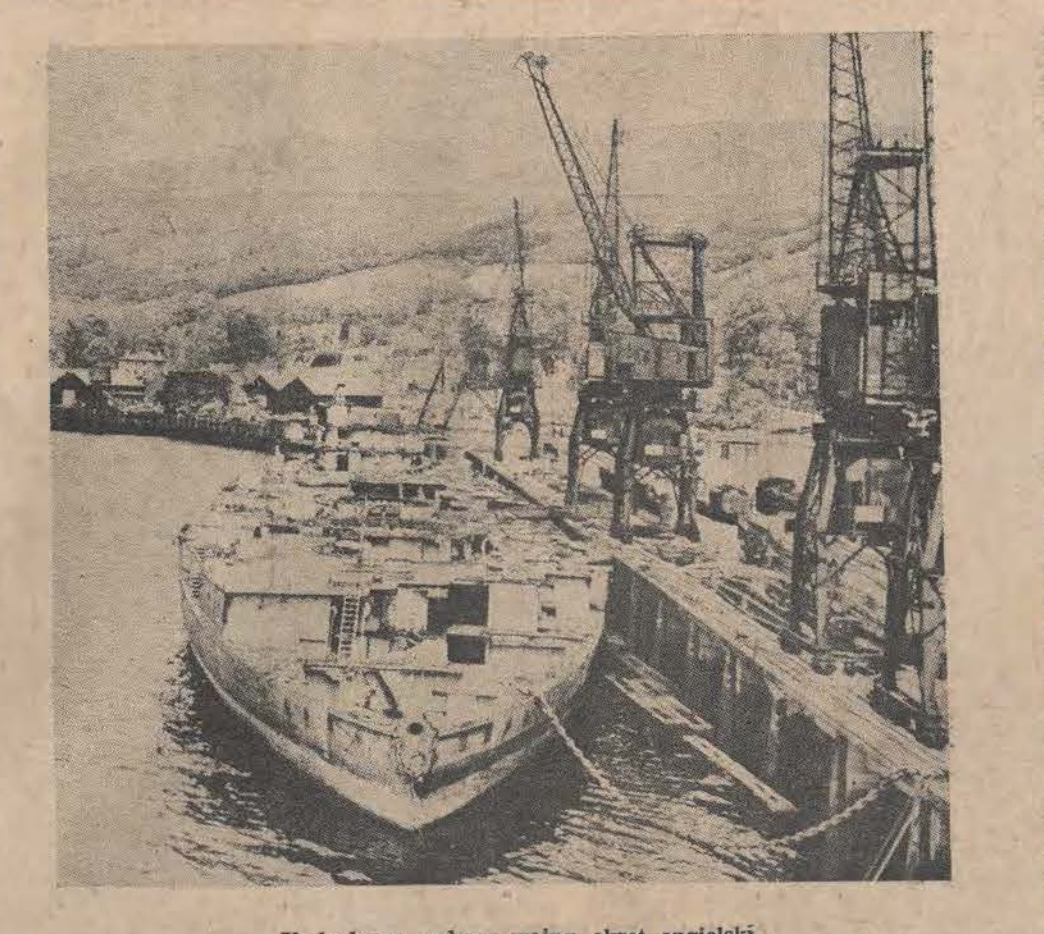
Egzystencjalizm wykazuje bezcelowość i absurdalność istnienia, w chwili gdy wszystko wzywa do działania. Ukazuje urojone tragizmy życia, otwiera oczy na nieistniejące cierpienia, odrywając uwagę ludzką od rzeczywistych. Gwałtem wmawia w ludzi, że nie mogą być szczęśliwi. Zamiast się starać łagodzić cierpienia istniejące, których jest dosyć, egzystencjalizm pomnaża je jeszcze przez urojone.

Chorobliwy przerost w operowaniu pojęciem wolności — przy mętnych sformułowaniach Sartre'a — pozostawia wiele możliwości dla dowolnej interpretacji tego pojęcia. Dlatego na sztandarze egzystencjalizmu wypisać swoje hasła może bądź faszyzm, który głosi nieograniczoną wolność dla pewnych wybranych, bądź anarchizm typu indywidualistycznego, zwłaszcza, że ideologia ta miała zawsze skłonność do mistycyzmu. Wydaje się, że bardziej prawdopodobna jest ta druga droga. Stwierdzona historycznie szkodliwość społeczna anarchizmu jest więc jeszcze jednym momentem obciążającym sartryzm, który w konkretnej praktyce społecznej doprowadziłby przypuszczalnie do podobnych rezultatów.

W każdym razie abstrahując od przeważnie nierozstrzygalnych sporów światopoglądowych musimy odrzucić egzystencjalizm z punktu widzenia pragmatystycznego jako ideologię bezwzględnie szkodliwą i celowo powstrzymującą postęp społeczny.

Witold Kula

Anglia w świecie powojennym*)



Uszkodzony podczas wojny okręt angielski

PO OSTATNIEJ wojnie Anglia znalazła się jako zwycięzca w świecie, w którym przeciwnicy zostali rozgromieni. Ale sytuacja okazała się inna od tej, jakiej przed wybuchem wojny oczekiwano. Imperialistyczna wojna z potężnymi konkurentami na rynku światowym Niemcami i Japonią, która doprowadziła do kompletnego uzależnienia tych dwóch konkurentów, w pierwszej chwili otwierała przed Anglią możliwości zastąpienia ich: Niemiec, jeśli idzie o produkcję maszyn i chemikaliów i Japonii, jeśli idzie o eksport tekstyliów. Otóż w rzeczywistości sytuacja okazała się inna. Dochód narodowy angielski wzrósł w okresie wojennym. W ciągu kilku lat produkcja angielska wzrosła o 80 proc., możliwości angielskie zostały niemal podwojone przez te kilka lat. Ale możliwości amerykańskie wzrosły o 160 proc.! Te rzeczy trzeba traktować względnie. I tutaj jest pierwsza zasadnicza różnica. Olbrzymi wzrost produkcji angielskiej wywołany był w dużym stopniu rabunkową eksploatacją. Produkcja rosła dlatego, że wydobywano z istniejących przedsiębiorstw jak najwięcej, wkładając w nie jak najmniej w dążeniu do osiągnięcia doraźnych rezultatów.

Była to działalność w pewnej mierze krótkowzroczna, podczas gdy Ameryka rozbudowywała produkcję w obliczaniu na dalszą metę i techniczna jej przewaga szalenie się zwiększała. Ustrój kapitalistyczny w swej młodości ma to do siebie, że stwarza bodźce dla postępu technicznego. Wolna konkurencja stwarza te bodźce sama przez się, ponieważ dążeniem naczelnym każdego z podmiotów gospodarczych jest dążenie do jak największego zmniejszenia kosztów własnych produkcji, co osiągnąć można właśnie przez udoskonalenia techniczne. Każdy z przedsiębiorców stara się o zastosowanie doskonalszych wynalazków, bo to stwarza mu możliwość pobicia konkurentów, zwiększenia zbytu i w ten sposób odbicia kosztów, poniesionych w związku z zastosowaniem wynalazku.

W starości swej kapitalizm, kiedy wchodzi w stadium monopolistyczne, gdy wolna konkurencja zostaje przez monopole wyeliminowana, stwarza typową sytuację utrudniającą postęp techniczny. Gdy na rynku jest kilka fabryk zapałek, to każdy wynalazek techniczny będzie kupiony przez którąś z nich. Ale z chwilą kiedy na rynku panuje jeden koncern zapałczany sytuacja się zmienia. Wysiłki kartelu zmierzają do tego, żeby to udoskonalenie dopuszczać, aby jak najdłużej pracować na tych urządzeniach, które istnieją, bo po co zakładać nowe, gdy nie ma obawy by konkurent mógł ze swej strony te udoskonalenia techniczne u siebie zastosować i zwyciężyć w walce konkurencyjnej. Przemysłowi angielskiemu nie opłacało się czasami modernizować urządzeń angielskich fabryk bo w nowych fabrykach amerykańskich mógł bez tych wkładów wyprodukować potrzebne ilości. Dołącza się do tego jeszcze trzecia okoliczność. Od dość dawna sytuacja społeczna w Anglii powodowała, że wielki kapitał musiał w swych kalkulacjach brać pod uwagę możliwości, iż prędzej czy później mogą tu nastąpić formy socjalizacji przemysłu. Stąd znów tendencja ze strony właścicieli, by nie inwestować, lecz, by „wyciągać" z przesiębiorstw ile się da. Jeżeli dodamy rabunkową gospodarkę w okresie wojennym — nie zdziwi nas ogólny wniosek, że przemysł angielski znalazł się w momencie końca wojny w sytuacji technicznej katastrofalnej, znalazł się w stanie kompletnego zacofania technicznego. A wiemy, że często łatwiej jest zbudować nowe przedsiębiorstwo niż stare, zacofane zmodernizować. Niewidoczny eksport, który był ważny dla Anglii w sytuacji powojennej jeżeli nie znikł, to się w wielkiej mierze zmniejszył. Obroty międzynarodowe uległy zmniejszeniu. Angielska flota handlowa poniosła ogromne straty. Tonaż jej z 17 milionów ton brutto spadł na 13. Duża część z tego tonażu jest zatrudniona w obsługiwaniu wysp angielskich, a tylko reszta może być użyta dla usług zarobkowych. Olbrzymia produkcja statków transportowych w Ameryce spowodowała powstanie konkurenta niesłychanie silnego. Usługi bankierskie, ubezpieczenia międzynarodowe itp. prawie zostały przekreślone. Lokaty międzynarodowe nie wchodzą w grę, przelewy międzynarodowe zostały zmniejszone do minimalnych rozmiarów, a tam, gdzie wchodzą w grę, miejsce Anglii zajęła niepodzielnie Ameryka. Jednym słowem i ta forma dotychczasowych angielskich dochodów zniknęła. Doszła do tego pewna sprawa przypadkowa. Anglia mianowicie eksportuje wyroby przemysłowe, a importuje surowce i artykuły żywnościowe. Otóż stosunek cen tych artykułów zmienił się w okresie wojennym a zwłaszcza powojennym bardzo silnie na niekorzyść Anglii. Artykuły surowcowe i żywność stosunkowo silnie podrożały. Złożyło się na to wiele przyczyn. Z jednej strony modernizacja przemysłu amerykańskiego potaniła artykuły przemysłowe, z drugiej strony szereg przyczyn (wzrost ludności w ostatnich latach na świecie sięgający do 10 proc., dewastacja pewnych surowców np. kauczuku i nafty), spowodował wielkie zmniejszenie produkcji pewnych surowców i żywności. Jednym słowem nastąpiła zmiana stosunku cen na niekorzyść Anglii, potęgująca się wciąż w ostatnich latach i miesiącach. Jeszcze umowa pożyczkowa zawarta z Ameryką w 1945 r. zawierana była w zupełnie innym stosunku cen. W rezultacie tej zmiany Anglia z przerażeniem widzi, że wyczerpała ostatnią ratę pożyczki amerykańskiej i okazało się, że tę pożyczkę przejadła i miała z niej znacznie mniej, niż spodziewała się mieć, bo artykuły, które sprzedawała stały się tańsze, a artykuły, które musiała kupować stały się droższe.

Pisałem wyżej, że jednym ze sposobów finansowania wojny był wzrost produkcji angielskiej. Rok 1946 wykazał natomiast zmniejszenie angielskiej produkcji. Cały szereg przyczyn na to wpłynął. Obok przyczyn naturalnych i nieuniknionych wchodziły w grę ważne, zasadnicze defekty ustroju gospodarczego. Naturalną rzeczą jest pewne zmniejszenie produkcji wywołane koniecznością przestawienia jej na pokojową. Ale np. dewastacja techniczna ma charakter ustrojowy, jest wywołana przez niedoskonałość kapitalizmu. Każdy w Anglii rozumiał, że nie można było bez końca takiej rabunkowej gospodarki prowadzić. Było to dobre tak długo, jak długo była wojna. Dewastacja spowodowała konieczność zmniejszenia produkcji. Okres wojenny, powodujący mobilizację wszystkich możliwości produkcyjnych w kraju dawał pełne zatrudnienie. Okres powojenny nie. Cały szereg przedsiębiorstw został unieruchomiony, którym na własną rękę nie dla dostaw rządowych, nie opłacało się produkować, zwłaszcza wchodziły tu w grę przedsiębiorstwa, które należały do towarzystw anglo - amerykańskich, towarzystw, które mogły produkować te same artykuły w wyżej technicznie stojących przedsiębiorstwach w Ameryce. Na powojenne zmniejszenie produkcji wpłynęły też strajki. Wchodził też w grę odpływ sił roboczych. Z chwilą, kiedy ustała mobilizacja rąk roboczych, wywołana przez wojnę, pewni ludzie przestali pracować (tu należą średni kapitaliści). Odpłynęła duża ilość rąk roboczych, które pracowały tylko ze względu na przymus mobilizacyjny (duża część kobiet). Odpłynęły pewne ręce do zawodów lżejszych, do zajęć niejednokrotnie jaskrawo nieproduktywnych (często przez prasę wspominana wielka ilość zatrudnionych przy organizacji psich wyścigów, meczów footbalowych itd.).

Do tego doszły ciężary okupacji Niemiec, wojny interwencyjnej w Indiach Holenderskich, ekspedycji w Grecji, armii okupacyjnej we Włoszech.

Weszły w grę trudności powojennego świata i rozbicie jego na dwie strefy. Anglia sprowadza najwięcej ze stref posiadających walutę „twardą" ze St. Zjednoczonych, Kanady i Argentyny, z drugiej strony Anglia do tych krajów bardzo mało eksportuje. Mogłaby eksportować do krajów o walucie „miękkiej", ale te kraje są wyniszczone przez wojnę a Anglia nie może im dać kredytu.

Doszło do tego wielkie zadanie reform ustrojowych. Reformy rządu Partii Pracy. W chwili zwycięstwa nad Niemcami nastąpiło rozbicie rządu koalicyjnego i objęcie władzy przez rząd Partii Pracy, która przeprowadziła szereg reform. Nacjonalizacja banków, kopalń oraz przygotowanie innych nacjonalizacji zostały wykonane w sposób zupełnie taki sam, w jaki rząd koalicyjny przeprowadził nacjonalizacje pewnych lokat zagranicznych. Jak wspomniałem, wojna była przez Anglię finansowana przez wyzbycie się lokat zagranicznych. Rząd koalicyjny przeprowadził nacjonalizacje tytułów posiadania za granicą, płacąc odszkodowania posiadaczom w papierach państwowych, oczywiście oprocentowanych.

W taki sam sposób została przeprowadzona nacjonalizacja banków i kopalń. Posiadacze akcji dostali obligacje pożyczki państwowej. Oprocentowanie ich oczywiście było mniejsze niż akcji, ale i ryzyko też było mniejsze. Nastąpiło tu pewne wyrównanie. Posiadacze akcji kopalń w takiej Boliwii ryzykują, bo kopalnia z każdym rokiem może dać inny bilans — a na papierach państwowych angielskich ryzyko jest minimalne. Otóż to jest rzeczą niesłychanej wagi. Angielski dochód roczny uległ zmniejszeniu, nastąpiło wyzbycie się stanu posiadania. Ale dochody posiadaczy prywatnych nie uległy zmniejszeniu, tyle, że będą zyski ciągnęli nie z krajów, zagranicznych, z Ameryki Południowej czy Dalekiego Wschodu — ale od podatnika angielskiego z którego opłat podatkowych rocznych państwo będzie wypłacało im pewną sumę co roku. Dochód narodowy został zmniejszony, dochód klas uprzywilejowanych—nie. Udział w dochodzie narodowym klas niższych ulega w ten sposób odpowiedniemu zmniejszeniu. Szacunek przejętych własności np. kopalń węgla został wykonany na podstawie nie ich rentowności przewidywanej, ale na zasadzie rentowności efektywnej w latach minionych. Ponieważ kapitał prowadził gospodarkę rabunkową, więc oczywista, że rentowność była b. wysoka. Oczywiście gdyby kapitał prywatny został w posiadaniu tych kopalń, to by w przyszłości takich zysków nie ciągnął. Stąd więc jeszcze jedno uprzywilejowanie: kapitał prywatny dostał odszkodowanie w stosunku wysokości zysków minionych, takich, które byłyby w przeszłości nie do osiągnięcia, gdyby przemysł ten w prywatnych rękach pozostał.

ORGANICZNE CECHY KRYZYSU

Jak napisałem na początku, wydaje mi się, że głęboki kryzys jaki przeżywa obecnie gospodarka brytyjska nie jest skutkiem dwóch wojen światowych, tylko jest przez te wojny przyśpieszony. Są to zjawiska te same, które dokonują się od dłuższego czasu. Momentem przełomowym jest era wiktoriańska. Do tego momentu Anglia spełniała pożyteczną funkcję, uzbrajała świat w linie kolejowe, fabryki itd., które tam pracowały i pracują. Od tego momentu jej rola, jako eksportera maleje, a jako importera rośnie; Anglia staje się rentierem, żyje z dorobku przeszłości. I tutaj widzimy jedną z zasadniczych cech kapitalizmu wielkoprzemysłowego. Otóż zmusza on do eksportu, a prowadząc od eksportu dóbr konsumcyjnych (np. tkanin) do eksportu dóbr kapitałowych (szyn, wagonów, maszyn) powoduje stopniowe uzbrajanie techniczne groźnych w przyszłości konkurentów. Początkowo kraje zacofane, jak Kanada czy Australia, dawały doskonałe zyski i Anglia nie bała się ich jako możliwych konkurentów. Ale po latach, kraje wyrosły na potęgi przemysłowe.

To jest pierwsza charakterystyczna cecha: ustrój zmusił Anglię do tego, by uzbrajała swoich przyszłych konkurentów.

Cywilizacja przemysłowa nosi w sobie zarodek dynamizmu. Nie można produkować jednymi metodami technicznymi bardzo długo, trzeba inwestować, rozbudowywać się ciągle. Jeżeli kapitalizm jest w stadium monopolistycznym i hamuje postęp techniczny, istnieje wówczas obawa, że inne państwo zmodernizuje się szybciej. A czasem łatwiej jest zbudować nowoczesną fabrykę nową niż zmodernizować starą. Anglia była pierwszym krajem, który rozbudował wielki eksportowy przemysł włókienniczy. Jej stare wrzeciona choć pracowały bardzo długo mogły jeszcze produkować, nie było właściwie racji by je wyrzucać. Ale przeciętna wydajność wrzeciona w Anglii była niższa niż japońskiego przemysłu włókienniczego i obserwowaliśmy w okresie wielkiego kryzysu światowego dramatyczną walkę angielskiego eksportu z japońskim. Angielski przemysł do tego czasu nie znał konkurenta, ale japoński przemysł w oparciu o swoje modernizacje stał się tym konkurentem po raz pierwszy. Minęło kilka lat i gdzieś w roku 1933 nastąpiło wyrównanie a w 1936 r. sytuacja była już odwrócona: japońskie tkaniny zwyciężyły na rynku, a Anglia zeszła na drugie miejsce. Oczywiście japońskie tkaniny były gorsze, ale w okresie kryzysu Malaj, gdy nie mógł sprzedawać kauczuku ze swoich kilku drzew, wolał kupić gorsze, ale tańsze tkaniny japońskie, niż droższe tkaniny angielskie.

To jest druga cecha ustroju kapitalistycznego, która doprowadziła Anglię do jej dzisiejszej sytuacji.

Trzecia cecha to omówiony wyżej fakt, gdy kapitalizm wchodzi w erę monopolistyczną, przedsiębiorstwo wstrzymuje się od inwestowania. To właśnie doprowadziło Anglię do tego, że jej przemysł znalazł się w stanie technicznego zacofania. Dziś w Ameryce na 100 warsztatów tkackich jest 90 mechanicznych — gdy w Anglii zaledwie 10. W tych warunkach trudno marzyć o utrzymaniu możliwości konkurencyjnych na rynkach światowych!

Wreszcie czwarta cecha ustrojowa:

Ustrój kapitalistyczny nie potrafił dotąd rozwiązać zagadnienia pełnej mobilizacji sił wytwórczych z wyjątkiem okresów wojennych. To też w niemałym stopniu przyczyniło się do dzisiejszego angielskiego kryzysu: utrudnia Anglii wydobycie się z niego.

JAKIE ANGLIA MA WYJŚCIE?

Na koniec zastanówmy się teoretycznie, w wygodnej sytuacji obserwatorów, czy i jakie ma Anglia wyjście ze swych obecnych trudności gospodarczych?

W wypadku (nieco utopijnym chwilowo w świetle aktualnej sytuacji światowej), gdyby świat doszedł do ujednolicenia swych poczynań gospodarczych, gdyby stała się możliwą jednolita polityka gospodarcza w skali światowej — trzebaby oczywiście przemyśleć zasadniczo sprawę racjonalności centralizacji przemysłu na wyspach brytyjskich. Centralizacja ta, związana kiedyś z wielką rolą węgla w produkcji przemysłowej — w przyszłości będzie nieuzasadniona technicznie, a uwzględniwszy uzależnienie tego przemysłu od dowozu wszystkich potrzebnych mu surowców, a także zważywszy konieczność wielkich wkładów pieniężnych dla jego zmodernizowania, ewentualność zrezygnowania z tego obszaru przemysłowego, który odegrał w minionym półtorawieczu tak doniosłą rolę w gospodarce świata, mogłaby się okazać gospodarczo uzasadniona.

Oczywiście ewentualność taka musiałaby być połączona z masową emigracją z wysp brytyjskich (o czym się nb. już dziś w publicystyce angielskiej mówi), a nie obyłaby się i bez wielkich strat w zakresie dorobku kulturalnego angielskiego, a tym samym byłaby dotkliwa i dla kultury światowej.

Ale przejdźmy od tych fanatazji do możliwości realnych.

Jedną możliwością realną jest zawarcie przez Anglię swego rodzaju „kartelu" z Ameryką. Wynikiem tego musiałoby być zamknięcie wielkiej liczby przedsiębiorstw przemysłowych angielskich. Posiadacze ich otrzymaliby oczywiście w ramach umów kartelowych „sprawiedliwe" odszkodowanie. Pozwoliłoby im ono żyć nadal na Wyspie w charakterze rentierów, cieszących się skarbami jej kultury i potęgowałoby rentierski charakter kraju, występujący wyraźnie, jak o tym mówiliśmy, już od epoki wiktoriańskiej.

Ale robotnicy fabryk zamykanych przez kartele odszkodowań nie otrzymują. Każde zmniejszenie angielskiej produkcji musi wywołać bezrobocie, a trwałe bezrobocie musi doprowadzić do konieczności emigracji. Rentierzy angielscy mieliby w tym wypadku zachowaną możliwość spędzania czasu w klubach londyńskich i kształcenia dzieci w słynnych uniwersytetach Cambridge i Oxford — za cenę tego, że robotnicy angielscy musieliby iść szukać chleba za morzami (nie mówmy chwilowo o tym, że znalezienie możliwości emigracyjnych w dzisiejszym świecie nie jest łatwe). Ale doświadczenia wieków dostarczają licznych przykładów, świadczących o tym, że kultury rentierskie nie są trwałe i rozwiązanie takie przewlekłoby tylko w czasie skostnienie i upadek angielskiej kultury.

W tym samym stopniu, w jakim kultura angielska jest skarbem, należącym do całego świata — cały świat jest też zainteresowany w tym, by Anglia nie weszła na tę drogę.

Ale czy jest droga inna?

ANGLIA LEŻY W EUROPIE

Jest droga inna.

Anglia leży w Europie.

Długo nam Goebbels udowadniał, że leży ona poza nią — i nie chcieliśmy mu uwierzyć. Nie uwierzylibyśmy też w te tezy i teraz.

Anglia leży w Europie. Angielski przemysł jest dorobkiem nie tylko angielskim. Drogo płacąc za jego wyroby narody europejskie przez długie dziesięciolecia ponosiły dużą część kosztów jego rozbudowy. Jego sprawność jest skarbem całej Europy, tak jak skarbem całej Europy jest Cambridge.

Wspomniałem wyżej, że Anglia produkuje artykuły, potrzebne Europie, zwłaszcza Europie Wschodniej, lecz że po wojnie kraje europejskie nie miały jej czym płacić a Anglię nie stać było na udzielanie im kredytu.

Dziś sytuacja uległa już pewnej zmianie. Zdewastowane kraje Europy Środkowej i

*) Patrz początek „Kryzys gospodarczy Wielkiej Brytanii" (Wieś Nr 15).

Wschodniej mają już pewne nadwyżki produkcyjne, którymi mogłyby płacić za angielskie towary.

W dodatku Anglia jako dostawca stanowi dla wszystkich tych krajów pewne korzyści większe niż Ameryka, mimo, że skutkiem swego zacofania technicznego produkuje na ogół drożej.

Jakie mianowicie?

Otóż korzyści te polegają na tym, że Anglia czegoś potrzebuje od nas, podczas gdy Ameryka wszystko ma. Olbrzymią większość złota zgromadziła w swoim ręku, odpada więc i możliwość płacenia jej dewizami. Ma ona „tylko" ten kłopot, że ustrój w jakim żyje nie pozwala jej na pełne wykorzystanie jej możliwości produkcyjnych i żyje w ciągłej obawie kryzysu i bezrobocia. By ich uniknąć walczy o rynki zbytu i o zduszenie konkurentów.

Ameryce możemy płacić tylko suwerennością. Dopuszczenie jej wpływów mogłoby doprowadzić tylko do przejęcia tytułu własności do naszych przedsiębiorstw przemysłowych przez posiadaczy amerykańskich, a w dalszej konsekwencji do ich zamknięcia i pozostawienia nam wyboru między mniej niż przemysłowa wydajną pracą na roli lub podejmowaniem się niższych funkcyj w przemyśle należącym do Ameryki. Jak dotąd jasno taką ideologię sformułował tylko Hitler.

Ameryce możemy płacić tylko suwerennością.

Z Anglią natomiast jest inaczej. My potrzebujemy Anglii — ale i Anglia nas potrzebuje. Anglii mamy czym płacić. Możemy dostarczyć jej niektórych surowców, możemy dostarczyć jej niektórych artykułów spożywczych, a przede wszystkim możemy umożliwić jej utrzymanie w ruchu jej przemysłu, a tym samym uratowanie go od niebezpieczeństwa, jakim mu grozi dominacja amerykańska.

O tym właśnie myślimy, czytając w gazetach wiadomości, o tym, jak w wyniku planu Marshalla zmniejsza się angielską produkcję okrętów i otwiera się granicę dla importu filmów amerykańskich.

W grudniu 1947 r. zawarta została umowa handlowa angielsko - sowiecka. Umowa ta przypomina dawną, przedstuletnią rolę Anglii. Przewiduje ona wywóz angielskich szyn i taboru kolejowego wzamian za żywność.

Na tej właśnie drodze, drodze współpracy z przebudowującą się w duchu socjalizmu częścią świata, może Anglia znaleźć jedyne wyjście ze swego obecnego kryzysu, które by gwarantowało nie tylko prawa kapitalisty, lecz i prawa robotnika angielskiego i które by gwarantowało dalsze istnienie cennej dla całego świata kultury angielskiej.



Przede wszystkim... należy ocalić cywilizację zachodnią

Karykatura z France Nouvelle

W dodatku w ramach współpracy socjalistycznej a nie konkurencji kapitalistycznej rola jej w tym wypadku nie polegałaby na uzbrajaniu przyszłych konkurentów — lecz na uzbrajaniu przyszłych kontrahentów w ramach wspólnie ustalonych zasad międzynarodowego podziału pracy.

Anglia ma wielkie pole do działania. Jest potrzebna i ma swoje miejsce w świecie, a zwłaszcza w Europie. Jest tylko kwestią, czy będzie chciała i mogła to miejsce zająć. Czy presja ze strony silniejszego „sojusznika" nie spowoduje z jej strony rezygnacji z tych możliwości.

Cieszyć się tylko możemy, że nasze interesy, najżywsze interesy wszystkich krajów walczących dziś o postęp gospodarczy i sprawiedliwość społeczną — są zgodne z interesami robotnika angielskiego.

Możemy wierzyć, że robotnik ten, jak dał dowód dojrzałości politycznej, gdy wbrew polityce swego rządu postawą swą zmusił go do podjęcia i doprowadzenia do zwycięskiego końca wojny z faszyzmem, jak dał podczas tej wojny i po niej dowody gotowości do wielkich ofiar dla wielkich celów, jak wykazał rzadką dyscyplinę społeczną we wspólnym dążeniu do realizacji ideowych celów — tak niepodobna by nie odkrył z kim wiąże go interes, a skąd grozi mu niebezpieczeństwo.

Post scriptum.

W artykule powyższym celowo prześlizgiwaliśmy się nad politycznemi aspektami sprawy. Sprawa rozpadania się Imperium, sprawa przekraczających dzisiejsze możliwości angielskie ciężarów politycznych, które rząd angielski jednak podejmuje, chcąc to Imperium obronić — to sprawy wielkiej wagi dla zrozumienia dzisiejszego kryzysu gospodarczego Wielkiej Brytanii. Przecież z górą połowy wspomnianej wyżej pożyczki amerykańskiej Anglia nawet nie „przejadła", lecz zużyła na pokrycie kosztów okupacji Niemiec, ekspedycji greckiej i td.

Celem moim było przedstawić rzecz w kategoriach gospodarczych. Trudności polityczne, tak poważne i doniosłe, zaostrzają tylko kryzys gospodarczy Anglii, który istniałby i bez nich, stanowiąc ostatnie stadium rozwoju kapitalizmu i czyniąc przejście do ustroju socjalistycznego nieuniknionym.

Witold Kula



Widok Opatowca, podług mapy z r. 1735.

Józef Putek

Walka parlamentarna kmiecia z zagrodnikiem

W najbliższych tygodniach ukaże się książka Józefa Putka p. t. **„Sejm w Ciemnogrodzie — Szkic z dziejów walki o naukę i oświatę"**. Z książki tej przytaczamy ustęp, wykazujący zmagania się chłopów postępowych z chłopami reakcyjnymi o kierunek i ducha szkolnictwa ludowego w Galicji.

W KADENCJI sejmowej 1889—1895 zasiadało w sejmie krajowym czterech posłów włościan: **Franciszek Kramarczyk, Stanisław Potoczek, Wojciech Mizia,** i **Wojciech Stręk.** Wybrany był jeszcze i piąty poseł włościanin, **Walenty Jachym,** w powiecie niżańskim przeciw obszarnikowi Stanisławowi Jędrzejowiczowi, jednak do sejmu nie dojechał. Po wyborze szynkarze utrzymywali posła Jachyma w stanie opilstwa przez 20 dni w knajpach zakonspirowanych, że nawet rodzina znaleźć go nie mogła, a potem w takim stanie doprowadzili go do starostwa, gdzie podpisał rezygnację z mandatu poselskiego. Ci czterej posłowie włościanie uformowali w sejmie **klub katolicko-ludowy,** a nawet spisali program swego działania na terenie sejmowym. Najinteligentniejszym, przy tym najwymowniejszym wśród nich był Kramarczyk, chłop postawny, zarazem wójt i pocztmistrz w gminie Osiek pod Oświęcimiem. Do tych cech sympatycznych dołączyły się jeszcze inne mniej sympatyczne, jak duża zarozumiałość, pycha, uniżoność wobec szlachty i kleru oraz czołobitność dla cesarza i jego rodziny. Kramarczyk do szkół nie chodził. Był on samoukiem, rozczytującym się przeważnie w literaturze kościelnej, która też z niego urobiła typ chłopa oddanego bigoterii. Z domu ojcowskiego wyniósł uprzedzenie i niechęć do szkół. W jednej ze swych mów, wygłoszonych w sejmie, przytoczył zdanie ojca swego o ludziach piśmiennych:

„Ej wiesz ty synu —
ten co się zna na piśmie,
ten się najpierwej
do piekła wciśnie!"

Potwierdził też trafność tego zdania ojcowskiego, gdy po dojściu do pełnoletności, pojmując świat i co jest na nim dobrego i złego przyszedł do przekonania, że „ojciec świętą prawdę mówił, bo widzi, że te **szkoły wedle dzisiejszego systemu ogromną ilość naszego społeczeństwa prowadzą do piekła".**

Nieubłaganym też był nieprzyjacielem szkół gimnazjalnych, „gdyż psują dzieci do gruntu":

„Wziąć do ręki pierwszą lepszą gazetę — mówił — zaraz czytamy, że ten się zabił, otruł, zastrzelił, obwiesił, zrobił defraudację, kradzież itp. zbrodnie i występki. Te wszystkie zbrodnie i sprzeniewierzenia nie robią ludzie prości, nieuczeni, ale ludzie uczeni. Jeżeli więc te wszystkie zabójstwa, kradzieże, oszukaństwa i malwersacje robią właśnie ci ludzie uczeni, to jesteśmy przekonani, że musi leżeć coś złego, jakaś zgnilizna moralna i zaraza w systemie szkół średnich, że dzieci nasze polskie, dzieci chłopskie, religijnie wychowane w domu rodzicielskim, tylko wstąpią do tych szkół, zapominają zaraz o Bogu, o religii i stają się z nich często najniemoralniejsze indywidua".

W r. 1889 wybrano Kramarczyka po raz pierwszy posłem kurii wiejskiej powiatu bialskiego. Mandat ten dzierżył przez trzy kadencje, tj. do roku 1908. Klub katolicko-ludowy wybrał go swym prezesem. We Lwowie, w czasie wolnym od zajęć poselskich p. Kramarczyk chętnie odwiedzał lwowskie klasztory i zakony, a nawet w jednym z kościołów w gronie pobożnych niewiast wieczorami odśpiewywał różaniec. Posłowie ludowcy **Bojko** i **Wójcik** z humorem nieraz opowiadali o swych przekomarzaniach z Kramarczykiem przy spotkaniach na ulicy:

— Dokąd kolega zdąża? — zapytywali.

— Ja na wieczorne nabożeństwo różańcowe, a koledzy?

— My do teatru — odpowiadali Bojko i Wójcik.

— Nie radzę koledzy, szanujcie powagę sejmu...—upominał poseł Kramarczyk, który nienawidził teatru i na każdej sesji budżetowej na temat niemoralności teatru wiele rozprawiał.

Wiele tematów mów posła Kramarczyka, wiele jego wniosków sejmowych zrodziło się w klasztorach. Wpadł on też w oko prezesowi Akademii Umiejętności Stanisławowi Tarnowskiemu, który za jego pośrednictwem podrzucał sejmowi pomysły ciemnogrodzkie, których nie wypadało jemu samemu jako prezesowi Akademii publicznie poruszać. Łasy na pochlebstwa, okadzany, oklaskiwany, stał się Kramarczyk sejmową trąbą obskurantyzmu. Jemu też wstecznictwo galicyjskie powierzyło przeprowadzenie ataku na szkoły ludowe, seminaria nauczycielskie i nauczycielstwo ludowe.

W dniu 6 marca 1899 r. złożył p. Kramarczyk do laski marszałkowskiej wniosek treści następującej:

„Zważywszy, że dzisiejszy ustrój szkolnictwa ludowego w Galicji nie odpowiada potrzebom włościaństwa pod względem praktycznego wychowania naukowego,

zważywszy, że główną podstawą naszego społeczeństwa winno być religijno-moralne wychowanie młodzieży w szkołach, oparte nie na samym tylko udzielaniu nauki religijnej w przepisanych godzinach, ale na przykładzie moralnym samychże nauczycieli, którzyby swoim zachowaniem wpływali w powyższym kierunku na umysły i serca dzieci,

zważywszy wreszcie, że smutny fakt wielkiej liczby analfabetów w Galicji stosunkowo do innych krajów, spowodowany jest jedynie brakiem nauczycieli oraz kandydatów do stanu nauczycielskiego, pomimo wielkich ofiar położonych ze strony kraju tak na polepszenie płac nauczycieli, jako też na zakładanie licznych seminariów dla kształcenia adeptów, dlatego podpisani wnoszą: Wysoki Sejm uchwalić raczy:

I. Wzywa się c.k. rząd, ażeby ustawę państwową, odnoszącą się do szkół ludowych, kształcenia kandydatów na nauczycieli zmienił o tyle, żeby dla szkół ludowych niższego typu otworzyć można odrębne seminaria nauczycielskie z mniejszym lecz więcej praktycznym planem naukowym, któreby na podstawie zezwolenia władzy duchownej połączone były z rozsianymi po kraju licznymi klasztorami męskimi i w którychby księża zakonni ku temu ukwalifikowani kandydatom stosownej nauki udzielali i w kierunku moralnym na ich przyszły zawód i stanowisko wpływali.

II. Wszelkie postanowienia co do warunków przyjęcia kandydatów do takich seminariów, zakresu ich nauki należą do ustawodawstwa krajowego z uwzględnieniem życzeń:

a) by kandydaci mogli być przyjęci w wieku od 14—30 roku życia, jeśli posiadają odpowiednie wykształcenie, równające się ukończeniu 4-klasowej szkoły ludowej, co udowodnić należy egzaminem wstępnym bez względu na zawód starszych osób,

b) by okres nauki w tychże seminariach trwał lat dwa, a w razach wyjątkowych u starszych kandydatów i okazanych oraz udowodnionych zdolności tylko jeden rok,

c) by wynagrodzenie roczne tej kategorii nauczycieli wynosiło do 20 roku życia po 15 złr miesięcznie, wolne mieszkanie, opał i używanie gruntu szkolnego lub ogrodu, zaś po 20 roku życia po 20 złr miesięcznie i dodatki w naturze jak wyżej, jednakże bez żadnych praw do emerytury, za to wolność zarobkowania w rzemiośle lub przemyśle poza godzinami szkolnymi,

d) czas udzielania nauki szkolnej w szkołach niższego typu rozpoczynałby się każdego roku z dniem 1 października a kończyłby się z dniem 30 maja jako popisu szkolnego wobec władz miejscowych i rodziców przy wystawieniu świadectw szkolnych".

Lwów, dnia 1 marca 1899

Kramarczyk — wnioskodawca

Wniosek podpisali posłowie: ks. Niebyłowiec, Karol hr. Dzieduszycki, Cielecki, Białoskórski, Hupka, Dąbski, Trzecieski, Niezabitowski, Osuchowski, dalej posłowie „katolicko-ludowi": Szwed, Potoczek, Warzecha, Data i Żardecki a także posłowie Stronnictwa Ludowego: Krempa, Średniawski, Wójcik i Bojko. Trzech posłów Stronnictwa Ludowego (Dr Bernadzikowski, Milan i Styła) wniosku tego nie podpisało, co do reszty zaś posłów SL, poseł Bojko oświadczył, iż p. Kramarczyk podsuwając im do podpisu swój wniosek, nadużył ich zaufania i dobrej wiary, gdyż złożyli podpisy w imię koleżeńskiej przysługi, nie wglądając w treść wniosku. Że tak było rzeczywiście, świadczyło zachowanie się p. Kramarczyka i mowa p. Bojki przeciw temu wnioskowi, jedna z najznakomitszych mów tego chłopskiego polityka, która odkryła właściwe tendencje wniosku.

Wniosek zmierzał wyraźnie do oddania wychowania młodzieży wiejskiej zakonom. Przejmował też sporo zasad z ustawy szkolnej reakcyjnego kanclerza Rotenhauera. Zawód nauczycielski traktował na równi z rzemiosłem, a sprawować go mieli ubocznie rzemieślnicy: szewcy, krawcy, stolarze, a także organiści i pisarze. Seminaria mieścić się miały w klasztorach, kandydatów nauczycielskich szkolić mieli zakonnicy, a szkoła ludowa stać się miała instytutem pozostającym pod wszechwładztwem kleru.

Pojedynek o kierunek i ducha wychowania publicznego w szkole wiejskiej, o pozycję i rolę nauczyciela w systemie nauczania i wychowania dziatwy wiejskiej, stoczyli ze sobą w sejmie dwaj **posłowie włościanie:** wnioskodawca **kmieć Franciszek Kramarczyk** i przeciwnik wniosku Kramarczyka **małorolny chłop Jakub Bojko.**

Kramarczyk, zamożny na 100 morgach osiadły kmieć, walczący niby Savonarola z wszelkim dorobkiem kultury, reprezentował ginący świat zacofania. Bojko, ubogi chłopina, osiadły na paru morgach gruntu, obarczony liczną rodziną, reprezentował żywotną, postępową myśl ludową. Bojko był przeciwstawieniem Kramarczyka. Wybrany po raz pierwszy do sejmu w r. 1895, rozżalony z powodu obrzydliwych nadużyć wyborczych, które starosta popełnił przy wyborze hr. Skrzyńskiego w gorlickim, wypowiedział słowa prawdy pod adresem większości szlacheckiej, za co spotkał się w sejmie z obelgą rzuconą mu przez prof. Jordana, streszczającą się w jednym jedynym słowie „bydlę!". Gdy pod adresem Kramarczyka z ust szlacheckich posłów padały słowa pełne pochlebstw, to taki Abrahamowicz stale gryzł i szarpał posłów ludowych, a najwięcej Bojkę. Z innej szkoły życia wyszedł Kramarczyk, a z innej Bojko. Bojko w swym życiu rozpoczynał karierę jako służący u chłopa, potem jako służący na plebanii, u arendarza, był i sługą kościelnym, był flisakiem, był także w latach 1877—1890 nauczycielem chłopskich dzieci. **Z własnego doświadczenia poznał tedy dolę nauczyciela i wartość dobrej szkoły.** Bojko, chłop wychowany w twardej szkole życia innym przemawiał w sejmie językiem, niż Kramarczyk. Na chwałę ludu polskiego trzeba zapisać, że wysłał do sejmu na schyłku XIX stulecia jako swego przedstawiciela chłopa, który z jedynej wówczas polskiej trybuny parlamentarnej, otaczanej przez dygnitarzy rządowych, przez biskupów, rektorów uniwersytetów, podnosił głos protestu światłego włościanina polskiego przeciw zamachom na oświatę ludową przygotowanym we wnioskach p. Kramarczyka.

*

Atak na szkołę rozpoczął p **Kramarczyk.** Uzasadniając na posiedzeniu plenarnym swój niechlubny wniosek, powiedział, że zdaje sobie sprawę, że wniosek ten wywoła grozę oburzenia, a **opinia publiczna wyda o nim sąd, że idzie w kierunku wstecznym, klerykalnym, żądając szkół ściśle wyznaniowych.** Krytyka ta jednak boleć go nie będzie, bo jest przekonany, że szkole ludowej odebrano to, co miała najlepszego i najdroższego, t.j. charakter ściśle katolicki i wyznaniowy, a obleczono ją w sukienkę bezwyznaniową i liberalną, w której kultura nie zastąpi nigdy światła religii. Ze zgrozą wołał, że

„milionowe masy ludu pozostawiliśmy na pastwę ducha ciemności w daleko gorszym stanie, jak był przed pół wiekiem, bo wówczas będąc zajęty pracą fizyczną, spłacał tym samym dług swój moralny wobec Stwórcy swego i społeczeństwa. Dzisiaj widząc się wolnym, a nie mając w duszy tego moralnego wodza, tj. oświaty, pędzi szalenie na bezdno tej przepaści, w której dochodzi wkrótce do ostatniej nędzy i nie dziw później, że z takiego materiału tworzy się proletariat, któ-

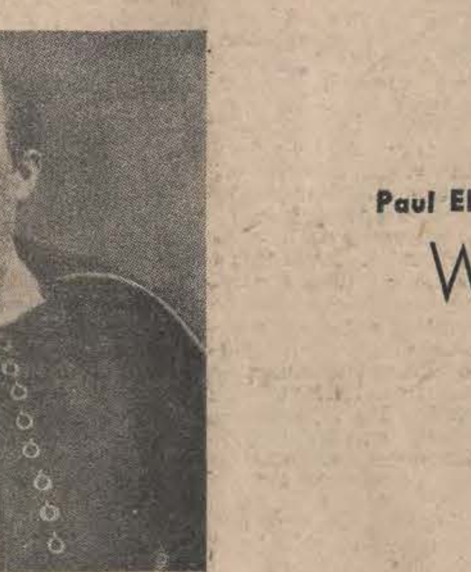
ry dąży nie do ładu, lecz do rozkładu porządku społecznego".

Można przypuścić, że początek tej części przemówienia powstał z natchnienia klasztoru, zakończenie jest już pomysłem samego mówcy. P. Kramarczyk nie bawił się grą w szachy, ale gra ta nasunęła mu porównania, zapewne także podsunięte:

„Życie nasze polityczne na każdym polu, czy szkolnictwa, przemysłu, czy handlu, czy ekonomiki, to szachownica, po której ostrożnie figurki polityki inwestycyjnej posuwać trzeba, aby nam ich chytry przeciwnik nie pobił".

„Widzieliśmy geniuszy pośpiechu inwestycyjnego, którzy zapędziwszy się zapamiętale, wpadli w przepaść, z której wyciągnęli ręce do znienawidzonego konserwatyzmu i zawołali: „Ratujcie, bo zginiemy" i zażądali pomocy od tych, na których pierwotnie ciągle kamieniem potępienia rzucali".

Być może, że w tych słowach, podsuniętych Kramarczykowi przez któregoś z konserwatystów, tkwiła aluzja do imprez inwestycyjnych posła demokratycznego Stanisława Szczepanowskiego. Sens słów tych był taki: nie należy inwestować pieniędzy krajowych w budowę szkół i seminariów nauczycielskich, gdyż projekt mówcy rzecz tę urządził taniej. Toteż doradzał, aby nauczycieli wychowywać w internatach klasztornych, bo wyszedłby z nich nauczyciel więcej przystosowany do życia wiejskiego, a tym samym praktyczny i tani, nie skłonny do dezercji ze swego zawodu, a co najważniejsze usposobiony religijno-moralnie względem swych wychowanków. Takie klasztory jak **Szczyrzyc, Alwernia, Kalwaria Zebrzydowska** byłyby najodpowiedniejszym miejscem na urządzenie seminariów nauczycielskich, bo to miejscowości oddalone od miast i „zaraza miejska" do nich nie dotrze. Oddanie kierunku wychowawczego zakonnikom dałoby najlepszą gwarancję moralną, a wszelkie posądzania duchowieństwa, jakoby nie było powołane do niesienia kagańca oświaty narodom i jakoby kiedykolwiek na tej drodze siało zgubne zasady, uznaje p. Kramarczyk za „teorię liberalizmu wprost zgubną i potępienia godną". Żałuje tylko, że tym prądom destrukcyjnym nasz lud wiejski daje posłuch i „rzuca pociski na tych, bez których ani wiara katolicka, ani kościół święty nie byłby naszym ideałem ani dewizą". Kandydatów na nauczycieli p. Kramarczyk już widzi i wskazuje: „Mamy tylu ludzi wykształconych etycznie, pisarzy, organistów, którzyby chętnie przyjęli posadę nauczyciela...", **ale w tym momencie przerwał mu wiceprezydent Rady Szkolnej krajowej prof. Bobrzyński: „O! tych nie"...!,** odtrącając w ten sposób ofertę p. Kramarczyka. Sprawę uposażenia rozwiązuje p. Kramarczyk łatwo. Nauczyciel może uczyć za 15 złr miesięcznie, choć p. Bojko, nauczyciele i całe dziennikarstwo mówią co innego i twierdzą, że jest niepodobieństwem, by nauczyciel poza szkołą mógł trudnić się rzemiosłem lub innym jakimś zawodem. P Kramarczyk widzi w tym przejaw pychy nauczycielstwa i w ogóle całego społeczeństwa. Chłop z pychy nie chce iść do dworu robić na dniówkę lub akord, zamożniejszy kmieć nie chce sam prowadzić pługa, zbogacony kupiec udaje szlachcica z Lechów pochodzącego, a nauczyciel jak otrzyma dekret, „to nie tyka się niczego poza szkołą, **bo musi przywdziać cylinder i astrachany**, bo cóżby koledzy o nim powiedzieli. I tenże nauczyciel już zawczasu dzisiaj woła: „Jakto! Ja miałbym później podać rękę takiemu koledze, **który trudni się szewstwem, krawiectwem i stolarstwem poza szkołą?** Wszak to straszny rozdział między nami!"



Jakub Bojko

Taniość partacza nauczyciela, będącego równocześnie szewcem czy stolarzem, miała być jego zaletą, bez względu na to, że byłby on partaczem i w innym zawodzie.

Poseł **Bojko** rozpoczął mowę od zaznaczenia, iż już od dłuższego czasu prowadzi się u nas walka o szkolnictwo ludowe. Pewne stronnictwa widząc, że lud światlejszy nie da sobą kierować, że ośmiela się sam o sobie radzić, a nawet wytykać wady swym opiekunom, przemyśliwują, jakby wrócić do dawnego stanu rzeczy i chłopa wziąć na cugle, aby wolę tych stronnictw wykonywał tak, jak mu ongiś nakazywały ustawy pańszczyźniane, tj. **„W pokorze i bez pomruku".** Że zaś do tego przyczyniły się szkoły, więc stąd narzekania, że drogo kosztują, że wychowują lud krnąbrny i niereligijny, a niektórzy mówią, że z takimi szkołami trzeba nareszcie stanąć. Powiadają, że szkoła się poprawi, jeżeli jej kierunek powierzy się księżom, a są i tacy, którzy chcą, aby organiści uczyli chłopskie dzieci, może kościelni, a może grabarze. Postawienie takiego wniosku podsunięto posłowi chłopskiemu. Chłopa użyto do postawienia wniosku, **którego urzeczywistnienie cofnęłoby nas o sto lat.** Komisja szkolna nie poszła jednak za tym wnioskiem i spodziewać się należy, że wniosek ten nie będzie uchwalony, bo może w sejmie znajdzie się większość więcej przychylna oświacie i ludowi, niż p. Kramarczyk. Projekt p. Kramarczyka nie nadaje się do wykonania. Pedagogów pokroju p. Kramarczyka było w kraju dosyć, uczyli sylabizować na groszówce, a potem na książce do modlenia. Po takiej nauce, gdy książkę myszy zjadły, przepadło i czytanie. Wokoło nas życie wre przyśpieszonym tętnem. Duch ludzki wsparty wiedzą odkrywa rzeczy, o których przodkom naszym się nie śniło. **Zmieniają się warunki życia i pracy, rolnictwo nie wystarcza, trzeba je łączyć z przemysłem, a do tego potrzeba większej wiedzy, aniżeli by jej nauczył nauczyciel pokroju p. Kramarczyka.** Oświata podniosła się we wszystkich krajach z wyjątkiem Hiszpanii. Wszędzie rządy otaczają szkoły coraz większą troskliwością, mnożą je, rozszerzają i udoskonalają programy nauczania. My znów mielibyśmy żywotność naszą na tym polu zadokumentować, żebyśmy zawiesili szkoły dla ludu, bo przecież zakłady prowadzone przez takich jednorocznych ochotników, zrekrutowanych z **parobków klasztornych,** szkołami nie mogłyby się nazywać. **Lud polski takich szkół i takich nauczycieli nie chce! Lud polski chce mieć nauczycieli światłych, którzyby nie tylko młodzież do życia przygotowali, ale którzyby swą wiedzą i inteligencją także do ogólnego dobra gminy się przyczyniali.** Uchwalając wnioski p. Kramarczyka przeczylibyśmy temu, że chcemy stanąć wyżej. Będziemy obchodzić 50 rocznicę śmierci Słowackiego, który wyrzekł wiekopomną odezwę do przywódców narodu: „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec!". Słabe i blade te kaganki, ale z mózgownic pedagogów, wyedukowanych według recepty p. Kramarczyka, nie biłoby i tyle światła, co niegdyś od szczypy, **byłyby one podobne do kopcia smołówki.** W tej nowej szkole, nauczyciel 16-letni, zaledwie umiałby czytać i pisać, a nawet spokojnie nie mógłby się oddać zawodowi pedagoga, bo by musiał być szewcem lub krawcem, bo z 15 złr nie wyżyłby, choćby nawet do śmierci żył w celibacie. Jak można chłopcu oddać naukę i prowadzenie kilkudziesięciu dzieci mało młodszych od niego?! Bawiłby się chyba z nimi, grając w guziki. Mowę zakończył p. Bojko cytatą z artykułu publicysty: **Niech Bóg strzeże nasze społeczeństwo, by podobne wnioski miały się lęgnąć w głowach posłów ludowych.**

Józef Putek

W najbliższych numerach „WSI"

Stanisława Cieślaka
o Czechosłowacji
o nas i optymiźmie

Mariana N. Listowskiego
o Chełmie — prowincji
muśniętej przez Pruszyńskiego

Jana Aleksandra Króla
w promieniu 50-ciu wsi —
oczami brygadzistów U. L.-u

Heleny Brodowskiej
o Kosmowskiej i „Zaraniu"

Waldemara Kiwilszy
o literaturze obozowej

Barabasza (Mariana Sołtysiaka)
o mojej partyzantce

Corda Jokansen
o polskiej emigracji
chłopskiej w Danii

W OSTATNIM NUMERZE 15 (144)
z dnia 11 kwietnia 1948 r.

Bernard Shaw — Genewa; **Hanna Mirecka** — Problem mas chłopskich we Włoszech; **Listy polityczne** — Dlaczego jedność; **Witold Kula** — Kryzys gospodarczy W. Brytanii; **Jan Szczepański** — Co to jest kultura?; **Paulina Czyżowa** — Szkoła dla literatów; **Lech Budrecki** — Tracący wiedzę o człowieku; **William Szekspir** — Pieśń o zimie; **Władysław Błachut** — Wojna „Piasta" z „Przyjacielem Ludu"; **Alina Nofer** — Miasto; **Piotr Wyrobek** — Wieś galicyjska w XIX wieku; **Alina Nofer** — Dzieciństwo; **Zygmunt Garbacik** — Dania po wojnie; **Zdzisław Skwarczyński** — Jak wychowywał Kipling?; **Stefan Szostkiewicz** — Czytelnictwo młodzieży; **Genowefa Szturchaniec** — O dużą i małą recenzję; **Tadeusz Drewnowski** — Wychowamy inteligenta ludowego; **Piotr Chmura** — O przyszłych studentach; **Znacie Ich?; w. j.** — Panie, do S. L.-u idę; **a. k.** — Jeszcze z oficjalnej inicjatywy prywatnej; **w. j.** — Szlachetni akademicy; **Listy: Seweryn Skulski** — Do Wojciecha Breowicza;; **Marian Śliwiński** — O poprawę bytu młodych pisarzy. Komunikaty; 16 ilustracji; 12 stron.

Paul Eluard urodził się w Saint-Denis w roku 1895 w rodzinie mieszczańskiej. Lata pierwszej wojny światowej spędził w wojsku. Zadebiutował w roku 1917 tomem wierszy p. t. „Le devoir et l'inquietude". Zaraz po wojnie wziął żywy udział w nowoczesnym ruchu literackim Francji, zapoczątkowując nowy prąd w poezji francuskiej tzw. surrealizm. Wydał w



okresie międzywojennym szereg zbiorów poezji, które uczyniły go jednym z czołowych poetów współczesnych we Francji. Podczas drugiej wojny światowej był czynnym członkiem Ruchu Oporu. Po wojnie wstąpił w szeregi francuskiej partii komunistycznej. Utwory niżej drukowane pochodzą z tomów „La rose publique" i „Les yeux fertiles".

m. p.

Paul Eluard przełożył Marian Piechal

W I E R S Z E

DO PABLA PICASSA

I.

Piękny dzień widziałem którego nie zapominam
Którego nigdy nie zapomnę
I kobiety płochliwe których oczy
Stanowiły moją wartę honorową
One obwinięte w swe własne uśmiechy

Piękny dzień widziałem moi przyjaciele bez trosk
Ludzie bez odczuwania ciężkości
Jeden który przechodził
Jego cień zmieniony w uśmiech
Pierzchnął do strumienia

Widziałem niebo bardzo wielkie
Piękne spojrzenia ludzi pozbawionych wszystkiego
Plażę zastygłą nieograniczoną przez nikogo

Piękny dzień dzień zaczęty melancholijnie
Czarny pod zielonymi drzewami
Lecz nagle zwilżony zorzą
Niespodzianie zapadł mi do serca

II.

Pokażcie mi tego człowieka zawsze łagodnego
Którego palce mówią podnosząc ziemię
Tęczę która się szerzy węża który pełznie
Lustro ciała z perłą dziecka na dnie
I te ręce ucichłe idące własną drogą
Nagie posłuszne redukujące przestrzeń
Obarczone pragnieniami i wyobraźnią
Wskazówka za wskazówką na tej samej wieży

Pokażcie mi niebo naładowane chmurami
Powtarzające świat uciekły spod moich powiek
Pokażcie mi niebo w jednej jedynej gwieździe
Ja dobrze widzę ziemię nią nieoślepiony
Kamienie zmierzchem omszałe trawy upiorne
Wielkie szkła wód wielkie złomy bursztynowych pejzaży

Gry z ognia i popiołu
Uroczyste geografie ludzkich możliwości
Pokażcie mi też biust czarny
Włosy obcięte oczy zagubione
Tych dziewcząt ciemnych i czystych które są stąd i zowąd wedle woli
Które są jak drzwi wzniosłe w murach tego lata
Niepokojące dzbany bez napoju właściwych cnót
Niepotrzebne zdarzenia we wspomnieniach zwykłych
Pokażcie mi te sekrety które jednoczą skronie
W pałacach nieistniejących które podnoszą świat

KRES POTWORNOŚCI

Trzeba ażebyś widział się umarłym
By wiedzieć że żyjesz jeszcze
Morze jest zbyt wysokie zbyt poziome twe serce
Synu ziemi pożeraczu kwiatów owocu ze zgliszcz
W piersi twej mroki wieczne zakrywają niebo
Słońce zerwało strunę muzy już nie tańczą
Słońce opuściło ptaki na ścieżkach nieprzeniknionych

*
* *

I twoje ręce z deszczu na oczach chciwych
Kwiecistość karmicielska
Rysują polanę gdzie stadło w uścisku
Pukle pogody wiosny ślimacze
Okrągłość matek świetlistych
Podkasanych i zwięzłych
Z koronek szydełkowych z kępek piasku
Z burz obnażających nerwy ciszy
Z ptaków diamentowych między zębami łóżka
I z wielkiej pisaniny cielesnej kocham

Lech Budrecki

CZY TAKI JEST LOS CZŁOWIEKA?*)

(rozważania nad Iwaszkiewiczem — część druga)

„...i tak noc, i tak noc. Takie już przeznaczenie człowieka". J. Iwaszkiewicz „Młyn nad Lutynią".

II. ROZSTRZYGA PRZEZNACZENIE

Nie pamiętam już, kto pierwszy wykrył w książkach Iwaszkiewicza „filozofię losu". Dość, że jeden krytyk po drugim potwierdzają dzisiaj trafność tego sformułowania. Naprawdę trudno jest je obalić. Jest ono przecież czymś zupełnie oczywistym już w pierwszym czytaniu. Przy czym zaznaczam lojalnie, sens takiej „filozofii losu" jest zdecydowanie pesymistyczny. Bohaterowie znajdują się w pozycji jeszcze bardziej chyba rozpaczliwej niż u Conrada.

Przypomnijmy losy poszczególnych postaci powieści i opowiadań Iwaszkiewicza. Wiktor Ruben przekonywuje się, że kochał Felę, w wiele lat po jej śmierci. („Panny z Wilka"). Julek Zdanowski, porzucający świętość, której był tak blisko, dla pani Łowieckiej nie znajduje szczęścia. Relacja autorska brzmi jednoznacznie. „Julek raz jeszcze ostro odczuł osobowość swojej istoty, odrębność jej i samotność. Złudzenie kontaktu z innym człowiekiem, jakie mu dawała obecność Jadwisi pierzchło i zostali sami, choć we dwoje — dwoje samotnych ludzi nad samotną wodą" („Młyn nad Utratą"). Biolog -popularyzator przybyły do małego włoskiego miasteczka San Quirico znajduje tam żonę i traci ją w dzień ślubu („Anna Grazzi"). Kora porzuca Dicka Wames w momencie, w którym porozumienie między nimi wydaje się być osiągnięte („Powrót Prozerpiny"). Narrator z „Koronek włoskich II" dowiaduje się zbyt późno o miłości Zosi do niego. Schmidt wreszcie nie orientuje się w pragnieniach Rozaliny („Hotel Minerwa"). Spróbujmy usystematyzować ten katalog, wyciągnąć z niego jakieś wnioski. Przekonamy się wówczas, że **nasze zamierzenia nie są nigdy zrealizowane.** Tak bowiem brzmiałaby sentencja, którą możnaby umieścić na tytułowych kartach książek Iwaszkiewicza. A jeśli nawet zrealizujemy swe pragnienia, to tylko po to, by powtórzyć słowa Wiktora: „Posiąść naprawdę coś, to jest rzecz niemożliwa". Zamiary są i pozostają prawie zawsze w sferze intencjonalnej. Z chwilą, gdy usiłujemy je spełnić, tracimy szczęście, ponosimy katastrofę jak duży Meaulnes, który pragnął spełnić pragnienia dzieciństwa. W tym miejscu wkraczamy już na teren problematyki umiłowanej przez secesję **). Przypominacie sobie „Szaloną Julkę", weźcie do rąk powieści Przybyszewskiego. Ale zapamiętajcie także, że to już spadek po latach 30-ych minionego stulecia, który stamtąd dopiero zaczerpnęła moderna Lucjan de Rubempré. Fabricio del Dongo, Julian Sorel padają także ofiarą tym razem porządku społecznego. W dramatach Kisielewskiego „genialnych" rzekomo artystów niszczy „filisterstwo" mieszczaństwa.

U Iwaszkiewicza natomiast, tak samo zresztą jak u Conrada winien wszystkiemu jest zapisany gdzieś u góry układ wydarzeń, wobec którego nic nie możemy. Czy wobec tego wracają hasła braci Schleglów, czy powtarza się pogłos wierszy Novalisa? Nie, mamy przed sobą stwierdzenie tylko, że jedynie w ramach czynności najprostszych, koniecznych dla zachowania egzystencji, możemy uniknąć klęski. Z chwilą bowiem, gdy zamierzenia nasze stają się ambitniejsze upodabniamy się coraz bardziej do Wiktora Rubena, który wróci po 15 latach do Wilka i napróżno będzie starał się odczytać rysy Feli z twarzy Tuni. I jeszcze raz powtórzę tutaj refren niepowodzeń, jakie spadają ustawicznie na bohaterów Iwaszkiewicza. Henryk ks. Sandomierski rzuca przed śmiercią koronę Szczodrego do Wisły i nie zostaje królem Polski („Czerwone tarcze"), Emanuel Krasowicz wracający do Florencji nie znajduje już Carli. Dowiaduje się, że wyjechała do Pisy, czy też do Ferrary („Kongres we Florencji"). Jedynie Róży powodzi się trochę lepiej („Róża"). Ale i to wniosek wyciągnięty raczej na podstawie końcowego: „Szczęść Boże, Różo"!, niż w oparciu o samą fabułę. Tym niemniej jednak Róża właśnie ma szanse powodzenia. Ale jej pragnienia są nikłe, podyktowane koniecznością biologiczną i obyczajową. Dlatego może nie popadają w konflikt z losem.

Wszyscy chyba słyszeliśmy wiele o „Bitwie na równinie Sedgemoor", o tym niezbyt długim opowiadaniu zestawiającym rolę jednostki z historią. Wyciągnijmy z niej morał. Młoda mieszczanka angielska Anna, wyrusza, by ostrzec wojska królewskie o mającym zaraz nastąpić napadzie pretendenta do tronu Monmoutha. (Historia rozgrywa się w XVII wieku). Jej wyprawa okazuje się zbyteczną. Królewscy i tak zwyciężają. Jedynym rezultatem ingerencji Anny w bieg historii jest śmierć jej małego braciszka. Po latach ona sama nawet zrozumie niedorzeczność własnego postępku. „I pomyśl Williamie — powiedziała na zakończenie — wszystko to było niepotrzebne. Monmouth i tak został pobity, choć Feversham nie został uprzedzony o nocnej wyprawie. A i Monmouth zginął niepotrzebnie. W trzy lata potem wypędzono króla Jakuba i mógł był wówczas powrócić do Anglii w orszaku Wilhelma III, który go tak lubił. I Monmouth minął, i król Jakub minął. I Bobby zginął, i moje życie się zmarnowało. Dlaczego?" Czyż słowa jej nie potwierdzają ostatnich zdań opowiadania „Anna miała wrażenie, że jakaś ogromna fala podniosła ją ku górze, ominęła, przeszła, rozpłynęła się i pozostawiła ją jak muszlę na piasku". Dowiedzieliśmy się więc, że wszelka pojedyńcza próba zmienienia, przeinaczenia dziejów nie prowadzi do niczego, będąc w zasadzie przedsięwzięciem rozpaczliwym i sprowadzającym katastrofę na tego, kto się go podjął.

Niejednokrotnie zastanawiałem się, na czym właściwie polega klęska Wiktora Rubena („Panny z Wilka"), Julka Zdanowskiego („Młyn nad Utratą"), Felka („Nauczyciel") Dicka wreszcie („Powrót Prozerpiny"). Spróbuję teraz na to odpowiedzieć. Przyczyną klęski jest prawie wszędzie **niemożność wzajemnego porozumienia się.** Między Wiktorem a Felą, między Rozaliną a Schmidtem, między Faustyną a Jankiem tkwi przedział, czasem sprowadzony do sytuacji społecznej, częściej wykraczający poza nią. „Nie można przełamać ludzkiego osamotnienia". Słyszymy to już od lat. „Człowiek jest sam" uczył kiedyś Ibsen. „Ludzie nie mogą porozumiewać się ze sobą" ubolewali luminarze secesji. „Tym lepiej" pisał Baudelaire. „Tym gorzej" odpowiadał Conrad, podejmując opowieści o samotnym Lingardzie („Ocalenie"), o samotnym Heyście („Zwycięstwo") i o samotnym Kurtzu („Jądro ciemności"). Postępki innego człowieka są dla nas w swych intencjach niezrozumiałe. Profesor Gueret nie pojmie pragnień Anieli, nie odgadnie motywów kierujących postępowaniem pani Grosgeorge („Lewiatan" Greena). Jeszcze raz powraca mitologia secesji z towarzyszącym jej ustawicznie okrzykiem: „Za późno". Jeśli bowiem uda się kiedyśkolwiek bohaterowi któregoś z opowiadań uchwycić sens wydarzeń, następuje to zawsze po wielu latach. („Panny z Wilka", „Anna Grazzi", „Koronki weneckie"). Uskarżali się nieraz krytycy na ogromną rolę **przypadku** w prozaickich dziełach Iwaszkiewicza. Mieli rację. Przypadek jest tu właściwie czymś usprawiedliwiającym rozwiązanie, posuwającym naprzód akcję. Przypadek powoduje, że Julek Zdanowski odwiedza panią Łowiecką („Młyn nad Utratą"), że ginie Anna Grazzi. Tak odbywa się ingerencja sił **wyższych,** poprawiających i modelujących nasze życie **Interweniuje przeznacznie.**

U Conrada w podobnie deterministycznym układzie świata jest moment wolności, moment, w którym bohater może spełnić to właśnie, czego pragnie. U Iwaszkiewicza wykryć by można również podobne miejsce. Sięgnijmy po „Starą cegielnię", przekartkujmy ją uważnie. Pamiętacie koniec „Korsarza"? Można przyjąć na siebie los innego człowieka, ocalając go tym samym. Wacek ginie osłaniając ucieczkę nieznajomego konspiratora. To najambitniejszy z czynów, jakie mógł dobrowolnie spełnić w swym życiu.

Iwaszkiewicza trzeba czytać do końca, do ostatniego zdania. Miałem kiedyś przyjaciół, którzy dotarłszy w swej lekturze do rozwiązania właściwej fabuły, odkładali tom na półkę, mówiąc, że reszta to brednia. Jak bardzoby się zawiedli czytając „Młyn nad Lutynią"! W finale bowiem znaleźliby dopiero objaśnienie i komentarz do opisanych uprzednio wydarzeń. Ostatnie słowa odsłaniają dno rozgrywających się spraw. Akcja bowiem przez cały czas nieomal odbywała się w cieniu. Tak jakgdyby ktoś przysłonił część obrazu, albo też, obrzucił go wielokolorowym i niewyraźnym światłem. Dopiero pod koniec opowiadania zasłona opada, w ciemnym dotychczas pokoju otwiera się okno i przekonujemy się, że płótno wygląda zupełnie inaczej, niż sądziliśmy dotąd. To technika choćby „Nauczyciela". Dzięki niej wprowadzony został narrator nie znający całości wydarzeń, orientujący się tylko w przebiegu niektórych wypadków. Wykrywanie związków pomiędzy nimi ciągnie się przez całe opowiadanie przybierając niekiedy fakturę romansu detektywistycznego. Dopiero zamykając książkę możemy jakoś uporządkować przedstawione nam fakty, o których otrzymaliśmy dotychczas bardzo pobieżne zazwyczaj informacje. Podawane już po bezpośrednim rozwiązaniu utworu posłowie zmienia nieraz gruntownie interpretację wydarzeń, podsuwa nową, zupełnie różną. Ten właśnie finał burzy najczęściej pomyślny dotąd dla bohatera obrót wydarzeń, podsuwa to, co przywykliśmy nazywać morałem. Filozofia opowiadań zawarta jest w zakończeniu. Znacie jej rozpaczliwy antyarrywizm. Aby go sobie jeszcze lepiej uprzytomnić cofnijmy się do roku 1925, to jest do roku, w którym napisane zostało tytułowe opowiadanie zbioru, „Nowa miłość". Bohater nie wpuszcza do siebie kobiety niosącej mu rzekomo „wielką miłość". Rezygnuje z dalszej części przygody, rezygnuje z wydarzeń, których koniec nie trudno mu odgadnąć. On nie podejmie wyprawy Anny z „Bitwy na równinie Sedgemoor" mającej skorygować bieg życia, **on chce wszystko przeczekać,** cofając się w spokojny azyl, **pozostając na uboczu.** I w tym tkwi rzekoma „mądrość" wyrzeczenia, mądrość Henryka ks. Sandomierskiego, powstrzymującego się w realizacji wielkich zamiarów, w realizacji rozpoczętej wyprawą na Kraków. — „A mnie się zdaje — powiedział Henryk — że kto rządzi, choćby nawet był cesarzem Barbarossą, temu tylko wydaje się, że rządzi. Wynosi go rzeka wielka, jak powódź pnie wynosi. Widzę Wisłę przez okno w czasie powodzi i wiem, że raz to, raz owo drzewo jest po wierzchu. Może się tym drzewom zdaje, że one rządzą wodą, a woda nie wiedząc sama je niesie".

A potem przyszło rozpaczliwe stwierdzenie z „Pasji Błędomierskich" o **trudności przeczekania i o konieczności ucieczki z Jasnej Polany.**

III. OPOWIADANIA DWUZNACZNE

„Aż do ostatnich czasów traktowałem poważnie poznanie, filozofię, naukę — wszystkie te czynności, które rozmieszcza się pod wzniosłym tytułem „poszukiwanie prawdy". Ale od roku prawie widzę, że to osławione poszukiwanie prawdy jest po prostu zabawą, rozrywką". Aldous Huxley „Ostrze na ostrze".

Dziwny jest przebieg niektórych opowiadań Iwaszkiewicza. Narrator powtarzający z możliwie największą dokładnością zaszłe wypadki, zaszłe wydarzenia zaczyna się w nich gubić. A przecież na pierwszy rzut oka przypomina on swą postawą poznawczą dawnych racjonalistycznych myślicieli. Stoi w odosobnieniu, nie bierze udziału w rozgrywających się wypadkach, mówiąc o nich w taki sposób, jak gdyby działy się one gdzieś na bardzo dalekiej planecie. Pomiędzy nim, a faktami, nad którymi się zatrzymuje leży dystans historyka, dysponującego wszechwiedzą. Nie wierzcie jednak narratorowi! To nie filozof czasów kartezjańskich poznający z azylu, przypisujący swemu poznaniu pewność całkowitą i doskonałość. Pisarz w czasach Balzaka jeszcze miał, odziedziczony w spadku po racjonalistach XVIII wieku patent na mędrca, obserwującego glob z zaświatów. Poznawał wydarzenia w ich prawidłowych i jedynych ciągach. Nawet mówiąc w pierwszej osobie wiedział daleko więcej, niż uczestnik jakichś wydarzeń wie o tych wydarzeniach. Narratorzy Iwaszkiewicza mają już inną cechę. Ich opowiadania przypominają do złudzenia wytyczenie granic ludzkiego poznania, które przed przeszło półwiekiem rozpoczął Henryk Bergson. Człowiek patrzący na życie nie może poznać go w całości. Wynotuje i zapisze co najwyżej jakieś poszczególne zjawiska, upraszczając je i ułatwiając w odpowiedni sposób. Nigdy jednak nie ujmie on w całej rozciągłości przebiegów życiowych i ich istoty. (W tym miejscu miała pomóc intuicja). Tak więc zaczyna się tajemniczość i niepoznawalność świata. Proszę mi wybaczyć, że przejdę tu od razu do „Matki Joanny od Aniołów". Przyjrzyjmy się sprawie księdza Garnca. Czy ksiądz Garniec był spalony na skutek opętania, czy też w wyniku jakichś machinacji politycznych? Księdzu Surynowi opowiada się stale o opętaniu, któremu ulec miał poprzednik ksiądz Bryma. Pan Chrząszczewski zaś mówi wyraźnie: „Królowej się ten pies nie podobał, bo za bardzo szczekał". Idźmy dalej! Czy znamy wypadki, poprzedzające śmierć cyrkowego akrobaty? Czy wiemy, dlaczego była ona wydarzeniem tak straszliwym dla starego hofrata? („Zygfryd") Czy możemy stwierdzić jakie stosunki wiązały naprawdę Michała z żoną Bolesława („Brzezina")? Narrator nie może przedstawić tych spraw takimi, jakimi były rzeczywiście. To przekracza jego możliwości.

Przejdźmy na chwilę na teren dramatu. W „Elektrze" Jana Giraudoux znajdziemy także wiele komentarzy do fabuły samej sztuki. Podobnie w „Amfitrionie 38" i w „Wojna trojańska nie odbędzie się". Wydarzenia są pewne, są stwierdzone naszym doświadczeniem. Natomiast związki pomiędzy nimi i ich wzajemna motywacja to rzeczy w zasadzie niesprawdzalne. Nie da się bowiem odkryć (chce nam to wmówić autor) wszystkich przyczyn, a tym bardziej ustanowić między nimi jakiejś hierarchii. Ksiądz Garniec może być spalony zarówno na skutek opętania, jak i na skutek intryg dworskich.

Pisarze początków minionego stulecia, z chwilą, gdy zaczynali opowiadać jakąś historię, znali ją, wiedzieli o niej wszystko. Ich tłumaczenie przygód bohatera było zawsze pewne. Orientowali się doskonale w związkach zachodzących pomiędzy wydarzeniami, tworzącymi fabułę powieści. Tak działo się z Balzakiem, Stendhalem, Dickensem, Zolą. Możnaby tu wyliczyć jeszcze kilka nazwisk. Dalsza statystyka wydaje mi się jednak absolutnie zbyteczną. Dopiero pod koniec XIX w. dwa niedostrzegalne dotąd zdania z „Pustelni parmeńskiej", podchwycone przez Gide'a pomogły sformułować jeden z podstawowych kanonów powieściopisarskiej poetyki, wyłożonej tak świetnie w „Fałszerzach". W 1894 r debiutujący wówczas dopiero Joseph Conrad skończył „Czarnego sternika", tworząc tym samym wzór **opowiadań dwuznacznych** o zawoalowanej fabule, o niedopowiedzianych wydarzeniach. Wszystkie dotąd wydarzenia tworzące intrygę powieściową podlegały zasadzie kartezjańskiej metodologii, musiały być jasne i wyraźne. Zamykając opowiadanie wiedzieliśmy wszystko, absolutnie wszystko. A tu.... A tu słuchamy zawiłej historii, w której opowiadający wie tyle, ile może wiedzieć konsekwentny uczeń Edmunda Husserla. Ma dane, fakty, usiłuje tedy utworzyć między nimi jakieś bardzo hipotetyczne związki i na tym zakres jego działalności kończy się. Reszta bowiem jest już bardzo wątpliwa, bardzo chwiejna.

*) Patrz: cz. I w numerze 15 „Wsi" („Tracący wiedzę o człowieku"). Fragment niniejszy, jak i poprzedni, jest urywkiem dłuższego studium.

**) Przez secesję rozumiem typ literatury dominującej w Niemczech i we Francji pod koniec XIX w. (lata 80 i 90), uważany wówczas najpowszechniej przez krytyków za reprezentatywny.

Z Wystawy Obrazów i Rzeźb Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czeskim Cieszynie

(Marzec 1948)



Fr. Swider — Szewc



R. Żebrok — Emeryt



K. Piegza — Górnicy

Powyżej reprodukujemy obrazy malarzy polskich z Czeskiego Cieszyna: **Franciszka Świdra, Rudolfa Żebroka,** ucznia Świdra (jest to malarz samorodny, piekarz z zawodu) oraz **Karola Piegzy** z Łazów. (górnika, a następnie nauczyciela; ulubionym jego tematem malarskim jest praca górników i krajobraz Zagłębia).

Jan Aleksander Król

W „Chłopach i Państwie"... pugu, pugu!

KIEDY organ naczelny jakiejś partii poświęca cały numer jednemu zagadnieniu — mamy wydarzenie polityczne. To też biorąc do ręki świąteczny numer „Chłopów i Państwa" (PSL.-Lewica), poświęcony Wiciom, pomyślałem sobie — raz nareszcie nas ubiegli. Cały numer? Pewnie piszą o znaczeniu udziału Wici w „Służbie Polsce", o przemianach i ożywieniu Związku i wsi, jakie wywrą kadrowcy ze „Służby Polsce", pewnie piszą o słuszności jaknajszybszego połączenia się młodzieżowych organizacji, pewnie wskazują racje i metody doprowadzenia do unifikacji, ba, wskazują już może zadania i formy działania zjednoczonej młodzieży? Ten temat — dziś i jutro młodzieży wiejskiej — stoi przecież przed politykami. Tymczasem...

„— Pugu, pugu.

— A kto taki?

— Kozak z Ługu".

Dla panów polityków z PSL-lewicy najważniejszą wydała się teraz sprawa „zastanowy" (mówiąc ich językiem) nad **przeszłością Wici**. Jest to rzeczywiście zastanawiające. Przez trzy bowiem lata wydawało się nam, że zadanie to zostało wypełnione przez ośrodki badawczo-naukowe, przez same Wici i partie polityczne. I nawet w tych trzech kręgach ustaliła się zgodna ocena. Czyżby więc PSL-lewica znów zaczynała od początku — Pugu, pugu — Kozak z Ługu? Niestety. Dumanie „Chłopów i Państwa" nad przeszłością Wici ma sens polityczny. Odsłania go na początku numeru p. Dębski. „Nie trzeba być uczonym, by się przekonać, że ogrzana woda, choć się zamieniła w niewidzialną parę wodną, po ochłodzeniu skrapla się ponownie".. Znaczy to — Wici dawne, przedwojenne, ogrzane „łagodną rewolucją", choć się zamieniły w rewolucyjną parę, ale po ochłodzeniu (przez PSL-lewicę?) znów wrócą do dawnej, przedwojennej wody. I takie, proszę Państwa, powinniście je mieć na dziś i na jutro. Dlaczego dziś, kiedy w Polsce jest inaczej, niż przed wojną, mają być Wici takie same? I na to odpowiada p. Dębski „nikt nie może zaprzeć się swojej przeszłości, bo nosi ją w sobie... Polska nie zaczęła się od dzisiaj" — ergo — nośmy w sobie przeszłość a będziemy mieć przyszłość. To nawet ładne, bo ma za sobą tradycję. Tak mawiała szlachta; tak mówi teraz na zachodzie burżuazja. Bądźmy — jacy byliśmy. Takiemu związkowi z przeszłością narodu stanowczo trzeba się przeciwstawić. Dziedziczenie historii narodu i klasy na czym innym polega. Szlachetczyźnie zawdzięczamy w toku dziejów piękne i straszne karty. Nie wypieramy się i strasznych: doprowadzenie do upadku narodu, zahamowanie rozwoju miast, przedłużenie pańszczyzny i resztek feudalizmu do ostatnich lat. Tak, to historia naszego narodu. To dziś historia panującej naszej klasy chłopskiej. Ale w jakim znaczeniu? W takim, że wszystkie klęski narodowe i społeczne z przeszłości na nasze barki zostały, jak na **konto dłużnicze**, złożone **do odrobienia**.

Konia z rzędem temu, kto udowodni, że młodzież wiejska mogła odrobić przed wojną to, co teraz może. Ale p. Wycech kończy swój artykuł o „Wiciowych podstawach wychowawczych" stwierdzeniem: „pedagogika wiciowa wytrzymała próbę życia". Bardzo jesteśmy ciekawi — dzięki czemu? Pan Wycech wylicza: bo dorobiła się „głębokich ideałów społecznych". „Tymi ideałami są: ideał narodu, ludzkości i sprawiedliwości społecznej". Pugu-pugu — Kozak z Ługu!

Kolego, to wstyd tak czarować politykowi z partii, która przeszła dopiero co „najgłębszy" kryzys w tych trzech właśnie punktach. Niechby tak pisali idealistyczni humaniści (co to wiecie — głowa w obłokach), ale Wy? Przecież Mikołajczyk też miał ideał narodu. I nie to budziło wątpliwości, ale to — **jaki?** Omal, żeście nie zapłynęli pod tym żaglem na Wall-Street, jak czyni to obecny rząd Francji z narodem francuskim, a W. Brytanii z angielskim. Za pozwoleniem, czy Truman, Churchill, Blum, Franco nie mają wypełnionej gęby „najświętszymi ideami narodu"? Przed politykiem stoi podstawowe pytanie — **jaka to była lub jest treść idei narodu?** I na takie pytanie odpowiada. Was ono nie interesuje? A to bardzo źle. Jeśli już z drugiej ręki przyjmujecie wyjaśnienie (polityczne), na czym polega ideał ludzkości i sprawiedliwości społecznej, głoszony w programie „ładu amerykańskiego", to przyjmijcie z naszej ręki (po żmudnych i wielostronnych badaniach) wyjaśnienie „ideału narodu, ludzkości i sprawiedliwości" jak się on konkretyzował w przedwojennych Wiciach. Ale nie poprzestajcie na tym, że Wici miały ideał. A któż go nie ma? Miało nasze ziemiaństwo, miała burżuazja, miało i ma drobnomieszczaństwo (prawdopodobnie również dziś ten sam co wczoraj).

„Drugą wartością wiciowych zasad wychowawczych — wg. p. Wycecha — jest kształcenie w duchu klasowo-chłopskim, tak, jak pedagogika socjalistyczna kształci robotnika w duchu klasowym robotników". Tak było przed wojną — nadaje się to tym bardziej teraz. A burżuazja nie była kształcona klasowo? A ziemiaństwo? Kto nie jest kształcony klasowo? I co z tego, kolego polityku? Z tego jeszcze nic nie wynika. To tak z pozoru te dwie klasowości: chłopska i robotnicza wydają się jak dwa bratanki. Ale czy były u szanownego kolegi Niećki i Miłkowskiego?

Nie żartujmy. Odsyłam do wielu studiów drukowanych we „Wsi" na ten temat. W tym felietonie nie będę cytował. Mimochodem tylko przypomnę: kto wypalał w Związku „zarazę komunistyczną"? Kto tworzył ideał narodu z epoki przedkapitalistycznej, ba, przedfeudalnej? Kto chciał (druga utopia!) cofnąć naród w stosunki „drobnej produkcji i drobnej wymiany", czyli od kapitalizmu wielko-przemysłowego i finansowego do wczesno-liberalnego? Kto zamierzał trzymać klasę robotniczą w szachu, w stałej 10% liczbie ludności, aby (po jakiemu?) utrzymała się gra sił społecznych? Kto widział tylko „zachodnie demokracje"? Kto nazywał totalizmem rządy w Niemczech i Związku Radzieckim? Kto „front ludowy" obcinał z lewego skrzydła, powołując się na wolę społeczeństw demokracyj liberalnych? Przecież to wszystko trzeba zapisać pod rubryką przedwojennego „kształcenia w duchu klasowo-chłopskim". A Wy chcecie przejść nad tym do porządku dziennego? „Pedagogika wiciowa wytrzymała próbę życia" — ??? Owszem, patrzymy na przeszłość oczami historyka, sami tłumaczyliśmy powody zaistnienia takich koncepcji, przyjmiemy chętnie nowe wyjaśnienie. Ale to nie zmieni treści i znaczenia ówczesnych koncepcji klasowych. I dlatego rewizjonizm jest konieczny i „drogowskazy", a jakże, również. Bo w nowym kontekście społeczno-historycznym inna musi być treść klasowości. A jeszcze, wracając do żalów kol. Niećki pod moim adresem zgłoszonych o to, że brakło mu moich „drogowskazów", kiedy on na porębach czytywał „Zorzę" i „Zaranie", nie wiedząc że „salon zaraniarski" uprawiał. I ja żałuję. Pociesza mnie tylko to, że ten kto „Zaranie" założył, nie tylko wyszedł z „włościańskiego" salonu wczesnego „Zarania", ale w latach międzywojennych (starzec już, a jakże „duchem" młody) pięścią rozwalał Wasz, kol. Niećko „salon" gór wiciowych — mistycznych („Wici", U. L.) i intelektualnych („Młoda Myśl Ludowa"), a wyście (myślę o całej kompanii) rzeczywiście jak salonowcy potraktowali tego starca-rewolucjonistę. „Często też szanowni dyskutanci — pisał w odpowiedzi T. Nocznickiemu Miłkowski — lubią wykonywać już całkiem młodzieńcze skoki, nawet wówczas, kiedy mają siwe brody". To była odpowiedź młodych salonowców na „drogowskazy" starca, który już wówczas był **pomnikiem przyszłości.**

Taka odpowiedź na takie „drogowskazy"? „Sprawa ustrojowa w Polsce — pisał T. Nocznicki — posunęła się już tak daleko na lewo, że broszura Miłkowskiego nie może być wystarczającym lekarstwem na chorobę nędzy wsi polskiej". To Nocznicki potrafił wówczas (on, ale nie wy) powiedzieć: „Dla mnie Rosja jest olbrzymią, na 1/6 części globu ziemskiego położoną stacją doświadczalną, gdzie właśnie dokonywa się zmiana ustroju, gdzie się nowy ustrój i nowe życie buduje".

On historię znał nie z dowolnych urywków, poznawanych poto, aby „dusza dokądś szła" i miała „nastrój". On ją rozumiał w jedynie właściwy sposób, dający w wyniku **poznanie rzeczywistości społecznej.** Odczytajcie to jego memento na tle współczesnej sytuacji światowej. Kto się pomylił? Czyja prawda jest dziś oczywista i kto musi do niej wracać przez ośli most? To w „drogowskazach" starego Nocznickiego klasowość chłopska i robotnicza — dwa bratanki... Ale w ówczesnych Waszych? I jeszcze chcecie je balsamować? A zastanówcie się czy ich konsekwencją może być zjednoczenie organizacji młodzieżowych? I taka jest wasza **pośrednio** dana **polityczna odpowiedź** w numerze dumań nad przeszłością „Wici".

Trzecią wreszcie zasadą pedagogiki wiciowej było wg. Wycecha — „wychowanie młodzieży poprzez warsztaty pracy, czyli było to wychowanie uczestniczące, a więc wychowanie przez udział w przejawach życia społecznego i gospodarczego". Ano, balsamujmy! „Tak, jak w średniowieczu czeladnik wychowywał się w cechu, rycerz na zamku, tak, jak robotnik kształcił się w warsztacie pracy, tak chłop-wiciarz kształci się w swym warsztacie rolnym i środowisku społecznym wiejskim". Pozwolimy sobie dodać: tak jak kapitalista kształci się na robotnikach, jak adwokat, lekarz i aptekarz na naszej chłopskiej głupocie. I co z tego wynika? Że wszyscy się kształcimy w jakichś warsztatach. Klasy zaś pracujące w warsztatach pracy. To się nazywa — odkrycie i drogowskaz! A kol. polityku, chłop za czasów pańszczyzny nie wychowywał się aby „poprzez warsztat pracy"??? A po zniesieniu pańszczyzny przez następnych 50 lat, nim powstały „Wici", wychowywał się, czy nie wychowywał „poprzez warsztat pracy"? Kolego, o to się trzeba politykowi pytać — jaki to był techniczno społeczny warsztat? Za pańszczyzny — folwark pański dla poddanego. Po uwłaszczeniu — parcela prywatna dla obywatela z ustroju kapitalistycznego, parcela własna albo cudza (folwark również) dla najemnika kapitalistycznego.

Otóż to **„wychowanie uczestniczące"** wiciarzy było, „nolens volens", uczestniczeniem w kapitalizmie. Udział „w przejawach życia społecznego i gospodarczego", („młodzież uczyła się sztuki lepszego życia w warsztatach rolniczych swych rodziców i życiu społecznym wsi"), był udziałem w przejawach społeczno-gospodarczych ustroju kapitalistycznego. Drogi do „lepszego życia" wychodziły z kapitalizmu i grzęzły w nim. Niećko w 1937 r. odnotował takie cyfry: na stu-tysięczny Związek 88 członków wyjechało do szkół rol. 1/50 kół wysadziła drzewka przy drodze, 1/10 kół **podjęła** inicjatywę zorganizowania spółdzielni spożywców i zbiornic jaj, na 1000 kół w czterech zaplanowano fabrykację batonów, w dwóch spółdzielczą piekarnię, w jednym łaźnię („lepsze życie"). Ej, warto się zastanowić, jakie to warsztaty pracy otwierają się dziś przed młodzieżą wiejską i w jakich warunkach społecznych? A ponieważ jedno i drugie się zmieniło — to wstyd (pugu, pugu - kozak z Ługu) balsamować przedwojenny system wychowawczy... politykowi.

Na koniec...

„Ducholodzy" — i Niećko i Wycech i Popławski w jedno przede wszystkim biją:

Wici dokonały historycznego czynu — **przezwyciężenia kompleksu niższości wobec innych klas społecznych.** Toby potwierdzało naszą tezę o „salonie chłopskim" Bo tak — słusznie, że panowie, przypominają Bojkę i jego „Dwie dusze". Ale nie igrajcie z historią — z czasem! Właśnie, na galicyjskim gruncie, (gdzie był język polski) wychowanie narodowe (patronackie) dla wsi podjęto najwcześniej (ach, ten rok 46) i trwało najdłużej (przy niedorozwoju przemysłu a znaczeniu ziemiaństwa) — rozwinął się **dlatego kompleks niższości u chłopów.** Bo **kompleks niższości** powstaje **nie z przeciwstawienia się a z naśladownictwa i chęci wyrównania w tym, co uchodzi za wartość.** A ustawcież sobie te linie: Szarek, Bojko, Witos. Pierwszy: „że nas w tyle zostawili starsi bracia nasi... lecz porzućmy pychę, żyjmy z sobą w zgodzie". Drugi — „dwie dusze", trzeci — „pomiędzy starszych braci". Ten etap to koniec w. XIX i początek XX. W porządku, mogła wówczas jeszcze część ruchu ludowego (kułacka) mieć nadzieje, złudzenia i interes, podniesienia swej godności moralno - społecznej (na pozycji gospodarczej w ustroju kapitalistycznym wszak pozytywnej). Te imponderabilia sięgały po awans w panujący „pański" system kultury.

Ale i wówczas już Stapiński, przywódca **walczącego** ruchu ludowego pisał zgoła inaczej (1913 r.): „Oczywiście, rozmaici faryzeusze będą krzyczeć, że się łączymy z socjalistami, ale to **już każdy mądry chłop rozumie i uznaje, że raczej nam u socjalistów szukać pomocy,** niż u Abrachamowiczów, **bo z robotnikami i ich posłami więcej chłopów łączy,** niż z odwiecznymi wrogami chłopów — książętami, hrabiami i tym podobnymi panami. Więc w górę serca, w górę czoła, wytężyć siły i do walki bez wytchnienia". To jest **linia walki społecznej, linia rewolucyjna** i dlatego **na niej nie ma i nie może być kompleksu niższości.** Zrozumiano?

Dlatego, jeśli po 40 latach ten problem w/g Szanownych Panów okazał się najostrzejszym gwoździem dla Wici, po 40 latach bezustannego staczania się wsi polskiej w otchłań nędzy i społeczno - politycznej niewoli — to pozwolimy sobie wyciągnąć logiczny wniosek: ten gwóźdź oznaczał nie **przeciwstawianie się rewolucyjne, a wyrównywanie** — (wówczas już na dnie getta chłopskiego) — **zastępcze** (w fantazjach). Nie był krokiem pomyślnym ani w kapitalizm, ani w rewolucję. Był... wsteczny i prowadził do „salonu chłopskiego" (jak to my nazywamy).

Dziękuję Panom — Niećce, Wycechowi i Popławskiemu za tak rzeczywiście przekonywujące argumenty, dla mojej tezy. Tylko, proszę Panów, ja jej używam do wyjaśnienia części ruchu wiciowego, do wyjaśnienia ideologii znakomitej większości ówczesnego rządu wiciowego, to znaczy do wyjaśnienia ideologii i praktyki Waszej właśnie, Panowie. I to się znów pięknie i trafnie zgadza. Wy ten gwóźdź (jak zmówieni) wysuwacie. Wy przecież, jak z dopustem bożym, godziliście się z upaństwowieniem przemysłu, banków i reformą rolną.

Bo widzicie, w 40-ci lat po Stapińskiego manifeście rewolucyjnym, kiedy Polska politycznie, gospodarczo i społecznie była o krok od katastrofy, dla wiciarzy z terenu (na zdrowy rozsądek) uspołecznienie środków produkcji i zrzucenie kapitalizmu było jasne i konieczne, jak dwa a dwa to cztery. I od nich to szło. Nakryć czapką takich marzeń już nie było można. Ale można było jeszcze zakręcić w głowach. I tu już zaczyna się inicjatywa „gwoździa wiciowego". Przeczytajcie Miłkowskiego! Polityk ma obowiązek zrozumieć w jakim kontekście znalazły się upaństwowione fabryki, banki, lasy i reforma rolna? I jak „socjalistycznemu" z ducha programowi wypruto „ducha". Ten kontekst — to agraryzm, słowiańszczyzna, mit wiecznego chłopa, stanowej odrębności itd. itd...

A kol. Niećce i teraz jeszcze radzę wzorować się na T. Nocznickim. On pisał o historii wsi, o dążeniach wsi **osobno**, rzeczowo, objektywnie w artykułach. Osobno zaś pamiętnik. Radzę, nie mieszajcie tych rodzajów, bo literacko — to przybyszewszczyzna. Społecznie — żenujące: w pamiętniku — Wasze mocne przemówienie za Żydami i przeciw klasowemu uciskowi, a w publicystyce Waszej sygnalizowanie zainteresowania się Waszym „mitem duszy chłopskiej" przez endeków: „szuka się tam źródeł entuzjazmu i napięć psychicznych mas ludowych. Słowem to, co nurtuje światem całym znajduje oddźwięk w obozie narodowym". Więc, kiedy pamiętnik liryczny (choroba właściwa dla tych, którzy mają „rączki aksamitne" i „piersi chuderlawe", a dużo gorsza u tych, którzy mają budowę i przeszłość traczy i drwali) mieszacie z publicystyką powstaje kłopot niemały.

Na czyj rachunek te przeciwstawne pozycje wliczyć?

SPROSTOWANIE

W numerze poprzednim przez niedopatrzenie opuszczono w artykule Z. Skwarczyńskiego — **„Jak wychowywał Kipling?"** przypis bibliograficzny informujący o wznowieniu powieści Kiplinga. Podajemy go obecnie:

R. KIPLING — Stalky i spółka, W-wa 1948 przekł. autor. J. Birkenmajera „Wydawnictwo Polskie" R. Wegner.

R. KIPLING — Księga dżungli, W-wa 1947 przekł. autor. J. Birkenmajera, spółka Wyd. „Wiedza".

R. KIPLING — Druga księga dżungli, Katowice 1947, przekł. autor. J. Birkenmajera. — Wydawnictwo Mewa.

Mieczysława Buczkówna

DAWNO ZNAJOMEJ

Śniada pasterko kóz o rączkach wątłych
Spojrzeniu nocy w nieładzie miedzianych włosów
Widzę cię jeszcze:

Łąka paruje zielenią traw
W kwiatach pszczoły żółtą muzyką
Bosa wiejską przebiegasz piosenką
Po ciepłym ziół zapachu,

Nawołujesz rozbiegłe stadko
Jak flet łagodnym wezwaniem
Przybiega drżące, białe...
Do pieszczoty małych rąk.

Nie z książki — czytasz z barwy kwiatów, nieba,
Z mądrych zwierzęcych oczu
Ptaków czystego śpiewu, owadów lotu
Słów nie wiele — gdy z tobą rozmowa
W zawstydzeniu kryjesz spojrzenia
I w milczeniu wiedzę swą chowasz,

Tak cię pamiętam — z dziecinnych spotkań
Gdy wymieniając wstążki
Zamieniałyśmy modlitwy
Nie czując ubogiego milczenia dni,
Które czas odsuwał w — zapomniane.

Zofia Przęczek

rys. Krystyna Hierowska

MORGI

(fragmenty dramatu o reformie rolnej)

CHÓR PRZED AKTEM I

Z daleka zza kulis dochodzi dźwięk klarnetu lub fujarki. Piosenka wykonywana niedbale i nieumiejętnie, drażni ucho uporczywością. Mimo, iż skoczna, w pierwszej interpretacji wypada monotonnie. Stopniowo przybliża się i słychać ją coraz głośniej.

Przed kurtynę na estradę wychodzą pomału i leniwie, po jednej, po dwie osoby — robotnicy rolni. Trzeci lub czwarty z wychodzących przygrywa na flecie. Odziani biednie i rozmaicie. Dziewczęta mają chustki na głowach, długie szerokie spódnice i pozakładane za pas fartuchy, na ramionach szpadle i widły. Mężczyźni idą z cepami.

Parobek I: Wczoraj pod kościołem rozdawali jakieś pisma. Podobnież stoi tam, że reformę rolną ten rząd ma przeprowadzać.

Parobek II: Każdy rząd, póki nowy, to zaczyna od reformy rolnej. Jeszczem gęsi pasał, jak opowiadali, że dworów nie będzie, a dziś, człek ma już skronie siwe... i cóż będę gadać po próżnicy.

Dziewczyna I: Kiej podobno ten nowy rząd, to jest nasz... ludowy.

Parobek II: Pamiętam ja i ludowy rząd, duża nam z niego przyszło?

Dziewczyna II: Kiedy mówili, że będzie parcelacja...

Parobek III: Po tamtej wojnie też była parcelacja. Przecie dworskie pola aż po Żurawniki podchodziły, a dzisiaj... dziedzic ma krzynę mniej, ale ziemię najlepszą... Mało to od niego skupili i Barylak i Paluch, a choćby i ten Walocha, a nam co za różnica...

Parobek I: Jak nie wiecie, to nie gadajcie! Ziemia ma być nie dla gospodarzy, ino dla nas fornali najpierw i dla biedoty wszelakiej... i ja ten papier nawet mam ino czytać nie mogę, bo litery za drobne (wyciąga z zanadrza papier).

Parobek III: Dajcież, to ja przeczytam...

Parobek II: Umiecie to?

Parobek III: Jakże nie, przeciem nauczony (bierze pismo), e, to nie tak, (odwraca, zaczyna czytać). Ma... ma... mani... manifest... Polskiego..., Ko...mi...te...tu... Wy...wyz-wo-lenia Na-ro-do-we-go... Do... na-ro-du... Pol... skie...go,

Dziewczyna III: E, przestańcież, bo słuchać ciężko. Trza się do roboty spieszyć, bo dniówka przepadnie...

Parobek I: Nie gadaj byle czego. A może już niedługo bez dniówki się obejdziem.

Dziewczyna II: Dajcież, to ja raz dwa przeczytam (odbiera pismo, czyta sprawnie): „Rodacy! Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug".

Parobek I: To już są u nas, ale czytajże o reformie.

Dziewczyna II: Aha, jest. „Rodacy! Aby przyspieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej".

Parobek III: Dajże, już wiem, gdzie trza czytać (usiłuje odebrać papier).

Dziewczyna II: (nie oddaje, czyta dalej): „Ziemie skupione przez Fundusz Ziemi, z wyjątkiem przeznaczonej na gospodarstwa wzorowe, rozdzielone zostaną między chłopów małorolnych, średniorolnych, obarczonych licznymi rodzinami" (przerywa). E cóżeście gadali, przecież to nie dla nas.

Parobek I: (Ostro). Czytaj dalej!

Dziewczyna II: „...drobnych dzierżawców oraz robotników rolnych". Aha.

Parobek II: Pieknie, tylko skąd pieniędzy na to wziąć?

Parobek III: To ci dopiero, przecie idziemy złoto wybierać, to se napchasz w kieszenie ile wlezie i będziesz miał na reformę. (Ogólny gorzki śmiech).

Parobek I: Nie cudujcie, ino słuchajcie, **choć-em niepiśmienny, ale wiem, że nieraz od jednego pisma los wielu ludzi zależy.** (Do dziewczyny). Czytajże, kiedyś zaczęła.

Dziewczyna II: „Cenę za ziemię dla nabywców ustala się równą przeciętnemu rocznemu urodzajowi z danego obszaru ziemi. Jako przeciętny urodzaj przyjmuje się dla ziemi trzeciej klasy 15 centnarów metrycznych żyta.

Parobek III: Nawet nie tak drogo, ino że człowiek nie ma...

Parobek I: Cichojże raz!

Dziewczyna II: Nabywcy mogą płacić w naturze żytem, albo w gotówce podług ceny żyta na wolnym rynku. Na rok gospodarczy 1944/45, przyjmuje się cenę 400 zł za centnar żyta.

Parobek II: Prawdęście powiedzieli, że nawet niedrogo, ino trzeba mieć. Piętnaście metrów żyta i hektar gruntu... no, no, tęgi śpas... dopieroż się Barylski i Walochy obłowią...

Parobek I: Nie chcesz słuchać, to idź w diabły, a drugim nie przeszkadzaj. Czytajże, Maryś, spokojnie, a do końca, o widzisz, aż do tego znaczka!

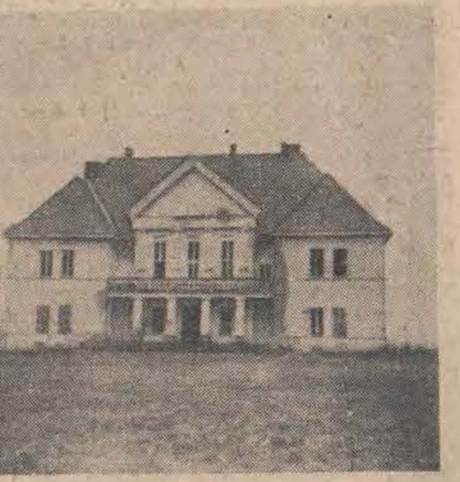
Dziewczyna II: Nowonabywcy wpłacają w gotówce lub w naturze 10 procent ceny kupna. Spłata reszty ceny kupna zostaje rozłożona dla małorolnych i średniorolnych na 10 lat, dla bezrolnych na 20 lat...

Wszyscy: Jak, jak... jak tam stoi?

Parobek I: Tak, jak słyszycie. Czytajże do tego znaczka, com ci pokazał!

Dziewczyna I: Nowonabywcy mogą uzyskać, w wypadkach zasługujących na uwzględnienie, odroczenie pierwszej wpłaty na lat trzy. Odroczenia udziela Powiatowy Urząd Ziemski.

Parobek I: To i wszystko najważniejsze. Spieszcież teraz, by wam zaś dniówka nie przepadła!



Szkoła Rolnicza (Słupia, pow. Stopnica). Przed reformą rolną pałac Radziwiłłów

Parobek III: (Po chwili ogólnego milczenia). Znakiem tego, jakby to prawda była, to każden z nas, jak tu stoimy, może wyjść jeszcze na gospodarza...

AKT III

SCENA VIII

(Obecni: Kmieć i Kmieciowa, Kmieciowa płacze po cichu).

Kmieć: (Sam do siebie): Moje wnuki nie chcą gęsi paść. Świat się przewraca.

Kmieciowa: (Chwilę jeszcze płacze, później podnosi głowę, patrzy na Kmiecia, jakby go pierwszy raz zobaczyła, siada koło stołu, zaczyna przebierać fasolę. Za chwilę rzuca robotę i chodzi bezradnie po izbie. Znów patrzy na Kmiecia).

Kmieć: Patrzysz się na mnie, jak wół na malowane wrota. (Kmieciowa milczy jeszcze chwilę).



Szkoła Rolnicza (Zborów, pow. Stopnica). Przed reformą rolną pałac hr. Łaszkiewiczów

Kmieć: No i co?

Kmieciowa: Aleś narobił, aleś napetłał, że teraz sam diabeł nie rozplącze....

Kmieć: I cóż znowu.

Kmieciowa: Całe życieś panował, całeś życie rozkazował, całe życieś rządził... aleś się urządził w ostatku, a mnie przy sobie....

Kmieć: Nie mogę wymiarkować....

Kmieciowa: Tylkom weszła w te progi, tak haruj i haruj od świtu do nocy, od świtu do nocy i nic, tylko te morgi, te morgi, te morgi przeklęte, ażeś i został z temi morgami, tylko, że nie wiadomo dla kogo te morgi i kto będzie na nich robił.... Dwoje starych ludzi... dzieci po świecie rozpierzchnięte, jak ten oset po polu.....

Kmieć: (Siedzi chwilę zdumiony, aż mówić nie może, wreszcie mówi dziwnie nieśmiało): Upiłaś się, czy co? Gospodarka, jak w raju, a ta jeszcze narzeka...

Kmieciowa: O toś powiedział! O toś powiedział — gospodarka, jak w raju! Tylko w tym twoim raju kopa korzec sieje, a korzec kopę daje! Kmieciu, gdzie twój raj! Gdzie twoja gospodarka? Nie raz se pomnę dawne lata... wyszło się te pszeniczkę zbierać, gęsta taka, że jej sierpem nie możesz zaczepić, a dzisiaj... kłos kłosa goni, a sterczą kiej ta trzcina na stawie... To ci raj... kmiecy raj... Gdzie twoje łany kmieciu? Gdzie?

Kmieć: Baba mi zwariowała. Do reszty zgłupiała — a wszystko przez te bolszewiki zapowietrzone...

Kmieciowa: A łąki? Kmieciu, gdzie twoje łąki? Pomnisz dawne lata... jak przyszły czerwcowe dni.... ta łąka przed tobą jak las stała..... Konne pastuchy za bydłem uganiały.... a co krzyku, co wrzawy... dawniej na samej łące tuczyliśmy woły.... a dzisiaj.... hej Boże miły.... toż żal serce ściska... spojrzałam se rano... słoneczko śnieg przegryzło.... a tam.... kretowisko jeno... jako te kopce na miedzy.... krety się pasą na twoich łąkach Kmieciu! Krety się pasą... .Ha, ha, ha.... a to prawdę ludzie powiadają... ha. ha, ha.

Walocha Kmieć
Walocha śledź,
Słomę sprzedaj —
wiechcie pleć....

Złapże te krety, ino żywo, żeby ci zaś nie uciekły, złapże te krety i sprzedaj i zaraz morgów dokup.... hahaha....

Walocha kmieć
Walocha śl.....

Kmieć: Czy ja oszalał babo, czy ty oszalała? No sama powiedz, no powiedz sama! Czy to ja winien, że pola nie rodzą jak przódy, że....

Kmieciowa: A kto?

Kmieć: To może i temu ja winien, że sad wymarzł?

Kmieciowa: A któż, jak nie ty ten sad zasadził? Któż drzewka u dziedzica wybierał? A kto się przechwalał?

Kmieć: No i ja winien, że potem przyszła ta ostra zima i sad diabli wzięli? (Kręci kółko na czole).

Kmieciowa: Nie, nie o to! Jeno o to, że ty się zawsze i we wszystkim na dziedzica oglądał i dziedzicowi wierzył...

Kmieć: (Myśli chwilę): Dziedzicowi sad się opłacił, posadziłem i ja...

Kmieciowa: Jemu się sad płacił, ale ino drzewkami, a nie owocem i dlatego i on ci te drzewka sprzedał! Czegój on ci nasienia na buraki nie sprzedał, albo... czekaj... czegój on ci nigdy jałówki nie sprzedał?

Kmieć: Jałówki nie sprzedał, ale byczka sprzedał!

Kmieciowa: A! Pamiętam ja tego byczka, co po nim krowy przez dwa lata jałowiły... Taka to i twoja gospodarka. Ale. poreszcie, dzisiaj, to mi już wszystko za jedno!

Kmieć: Tobie za jedno, ale mnie nie za jedno! I nie wiem czego ty kobieto ode mnie chcesz i co mi zarzucasz! Tyle ci tylko powiem, że nie tak ja winien, jak ty winna!

Kmieciowa: A cóż ja ci znowu zawiniłam?

Kmieć: Ty mi zarzucasz, że ja źle gospodaruję! A ja ci na to odpowiem jedno słowo, ale prawdziwe (powoli i dobitnie) wiadomo, że gdzie są same córki, tam prędzej, czy później w świat pójdą. Gdybyśmy mieli syna to i gospodarka by inaczej stała i inaczej by człowiek na ten świat patrzał... a tak,... cóż...

Kmieciowa: Ty... ty... ty... Ty mi śmiesz zarzucić dzisiaj... mnie starej kobiecie... ty się nie wstydzisz powiedzieć taką rzecz... Ty... ty... ty mi dzisiaj mówisz, że ja ci syna nie urodziłam? Ty... ty..., a ty pamiętasz (pochyla się naprzód i dobitnym szeptem), jak ja tu weszłam w twoje progi... ja, kobieta młoda, niewypracowana, zdrowa, kiej ta łania... ty pamiętasz po tamtej wojnie... robotnika nie było, bo jeszcze z frontu nie popowracali... pszenica się płaciła... kazałeś młócić cepem... zaraz z tobą my młócili... dzień i noc... jak ta maszyna... pamiętasz.... w siódmym miesiącu się urodziło... jeszcze żywe! (Podnosi głos). Przecież my jeszcze ochrzcić zdążyli... Pamiętasz, czy nie? Gadaj! Gadaj! (wybucha łkaniem).... wtedyk to dokupiłeś te dwie morgi.... te dwie morgi, co nam później kością w gardle stały! Co my ich spłacić nie mogli!

Kmieć: i... kiedy to było!

Kmieciowa: A później nie było???!... Dzisiaj jak karciłam swoje dziecko, swoją najmłodszą.... to aż ciarki przeszły, żeby ona, żeby moja mała Haniś... miała do Perońki chodzić... Czy to ja nie znam tej drogi do Perońki... A mało ja tam razy...., Przecież u ciebie albo morgi, albo dzieci. No to zostałeś.... Masz morgi... A dzieci poszli we świat... i ty mi dzisiaj na stare lata... mnie.... (płacze). Ale poczekaj.... na wszystko jest sposób... (idzie do skrzyni, zaczyna wyciągać przyodziewek).

Kmieć: Cóż ty znowu?

Kmieciowa: A, cóż tu po mnie... Ja już ani do roboty, ani do rodzenia niezdatna...

Kmieć: Cóż ty robisz?

Kmieciowa: (bardzo spokojnie, zrezygnowana). Ostawiam ci wolną drogę.... masz morgi, to ci teraz syna trza.... weźmiesz młodą, będzie ci syny rodziła!

Żeromski w teologicznym wykładzie

Szanowny Redaktorze!

Niedawno rozmawiałem z jednym ze swych kolegów, Czechem. Przyjechał do Polski ze specjalnym zamiarem studiowania naszej literatury. Rozmawialiśmy więc o literaturze. W pewnej chwili spytałem go, od czego właściwie zaczął poznawanie literatury polskiej. Odpowiedział mi, że naturalnie od najbardziej elementarnych i informujących rzeczy. Jednym ciągiem wymienił kilka podręczników historii literatury: Chrzanowski, Chlebowski, Tarnowski, Mazanowscy. Przy tym odkrył przede mną niespodziewanie front, na który nie byłem przygotowany. Oto z lekkim uśmieszkiem ironii stwierdził: „Wiecie co, kolego, — literaturę polską znam dotąd nie nazbyt dobrze, ledwie z tych kilku podręczników, które wymieniłem, popartych pewną ilością poznanych tekstów, ale już to pierwsze spotkanie z Waszym dorobkiem literackim pozwala mi na określenie charakteru ujęcia jego przez Waszych badaczy literatury. Nie wiem, być może, że się mylę, — mówił z uśmiechem — ale poznałem narzucającą się bezpośrednio cechę Waszych badań literatury. (Przedtem nieopatrznie w paru zdaniach potrąciliśmy o zagadnienie współczesnej metodologii badań literackich). Najbardziej rozplenioną u Was metodą badań jest rozpatrywanie literatury pod kątem jej patriotyzmu i religijności. To mnie uderzyło odrazu. Przyznaję, że nie jestem tym zachwycony, ponieważ zawsze skłonny byłem mniemać, że dobrą literaturę można traktować w kategoriach ponadpartykularnych i ponadwyznaniowych, rozważając ją przede wszystkim od strony jej humanistycznych, ogólnoludzkich wartości. Tymczasem dowiaduję się z Waszych źródeł, że literaturę Waszą tworzyli sami polscy święci w narodowych kapliczkach". — Nie wiedziałem, co mu na to odrzec. Znał tylko przecie podręczniki literatury: Chrzanowskiego, Tarnowskiego, Mazanowskich i znał je, jak można wnioskować z wyżej wyrażonego zdania doskonale. Po chwili dodał: — „Ale je nie daję się zasugerować tymi pierwszymi spotkaniami z Waszą literaturą. Jestem przekonany, że faktycznie jest z nią nieco inaczej, że nie jest ona tak uboga, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało, że jest w niej nieco więcej, niż jedynie szkoła patriotyzmu i religijnych ekstaz". — Tych jego słów uczepiłem się skwapliwie i począłem tłumaczyć, że to co poznał, to są opracowania sprzed kilkudziesięciu lat, że w istocie krytyka literacka tym się wówczas charakteryzowała, że wpływał na to w dużym stopniu fakt niewoli i stąd ta funkcja komentarza literackiego, jako kompensaty skrępowanego nurtu narodowego w innych dziedzinach życia. Trudniej było wyjaśnić ewangeliczną funkcję tych prac. Na koniec pocieszałem więcej siebie, niż jego, że wiele wskazuje dziś na to, iż zdewaluowanej literaturze przywróci się wreszcie jej rzetelny sens i że stanie się ona bardziej pożytecznym źródłem wiedzy.

Rozmowę tę z cudzoziemcem — kolegą przypomniałem w związku z lekturą ostatniego (9) numeru „Znaku" z marca. Czytałem artykuł Józefa Mariana Święcickiego pt. „Z tragedii wielkiego humanitarysty", który zupełnie na serio zaniepokoił moją dotychczasową wiedzę o Żeromskim. Aż się roi w nim od „duszy polskiej, serc autora, płomiennych pożądań ciała, porywów ducha. Nieskończonych Dobroci, litościwych Opatrzności, rządów Bożych", jako determinant twórczości Żeromskiego. Już samo to zestawienie terminologii językowej artykułu przypomina i wywołuje widmo sławnych i przezacnych tradycji krytyki literackiej sprzed 50-ciu lat.

Święcicki w wymienionej publikacji rozważa „szarpiący serce, nieprzezwyciężony pesymizm Żeromskiego". Rozpatrując tę „tragedię szlachetnego humanitarysty, którego niespokojne serce pozbawione mocnego oparcia, jakie daje duszy ludzkiej granitowa wiara nadarmo w sobie i poza sobą szukało jakiegoś pewnego utwierdzenia" — na wstępie stawia autor tezę, której potwierdzenia będzie szukał w dalszych swych wypowiedziach: „Jesteśmy przekonani, że genezy pesymizmu Żeromskiego szukać należy nie tyle we wpływach zewnętrznych, ile raczej w jego wewnętrznej strukturze, zwłaszcza w świecie jego przeżyć religijnych". „Jeśli o omyłce prometejskiej duszy pisarza trzeba nam mówić, to — dla chrześcijanina polegała ona na tym, że nie zaufał Temu, co świat trzyma w swej opatrznościowej i najmiłosierniejszej dłoni — Temu, który jest pogromcą duchów ciemności" Brzmi to niemal jak „uduchowiona" egzegetyka, któregoś z ustępów Pisma Świętego, ale — ze smutkiem stwierdzam — jest to jedynie teologiczna preparacja jednego z największych naszych pisarzy. Co by powiedział na to mój przyjaciel Czech? — Uśmiechnąłby się z pewnością złośliwie mówiąc: „No cóż, nic się jednak nie zmieniło. A więc, okazuje się, że znam już polską historię literatury doskonale". Na szczęście nie czytuje on — zdaje się — „Znaku".

Z całej swej pracy wyciąga Święcicki konkluzję, że tragedia prometeizmu Żeromskiego, to upostaciowanie tragedii nowoczesnego człowieka. I do tego czyni nieodzowny komentarz w ewangelicznym duchu: „Nienasycone i niespokojne serce ludzkie tęskni za ideałem odkupionej duszy, szuka gorączkowo w zamkniętym kręgu doczesności tej prawdy, która by je mogła z niewoli zła i cierpienia wyprowadzić a zadawalać się musi tylko swoimi marzeniami, dopóki nie odnajdzie prawdziwie zbawczego Słowa". Tak, doskonale, lepiej nie rozwiązanoby tego zagadnienia z kazalnicy w moim parafialnym kościele.

Szanowny Redaktorze, przesyłam Wam ten list wiedząc, że interesują Was sprawy młodzieży studiującej. Ja i mój Czech jesteśmy studentami polonistyki. Jesteśmy — że tak powiem — bezpośrednio zainteresowani literaturą. To pozwala nam mieć własne sądy o niej i nie zgadzać się na zdania innych, jeżeli są one tak absurdalne, jak wyżej ukazane.

Józef Bryczek

Anna Kamieńska

Wołanie na puszczy

Z Kwestarzem Wielkanocnym sprawa

KLEKOCĄCY i drewniany autobusik płoszył kaczki na szosie sieradzkiej. Niebawem trzeba było wysiąść i iść w zadymkę do wioski przysiadłej naokoło kościoła.

Gdyby nie te podróże, nie te drogi boczne, błotne — moje „badanie czytelnictwa" na wsi nie miałoby realnych podstaw. Krajobrazy, po które mieszczuch jeździ na wieś, to już przecież pierwsza warstwa kultury ludzkiej. Przycięte okrągło akacje nad drogą, kaczki, ta tzw. dal, w której odpoczywają oczy, to już określa jakoś sytuację kulturalną tych osiedli, tej wioski, do której jadę w misyjnej akcji kulturalnej organizowanej przez „Czytelnika". Te drogi musi przebywać codziennie 2 listonoszów, aby donieść gazety i listy ludziom w promieniu 2 mil. To też co 4 dni dociera tu listonosz do każdej z 57 wiosek będących w zasięgu agencji. Gazeta przychodzi spóźniona, a i to ktoś zaczepia listonosza na drodze: Panie, nie masz pan na sprzedanie gazety?

I teraz, gdy czytam ciekawie sprawozdanie z podobnego objazdu Ksawerego Pruszyńskiego w świątecznym numerze „Odrodzenia", uderza mnie rola pejzażu, rola literackiego pejzażu w tym ładnym szkicu, który można by nazwać fantazją na temat sytuacji kulturalnej prowincji. Lubelszczyzna wydała się pisarzowi odrazu krajem typowym, przeciętnym, po prostu Polską ze swoim krajobrazem nizinnym, miasteczkami o tradycjach królewskich i książęcych, śladami dawnych i nowych wojen.

To wrażenie opiera się na konwencji społeczno-literackiej, według której Polska to kraj **rolniczy i bohaterski**. Konwencja ta niewątpliwie szlacheckiego pochodzenia spadła ostatecznie na barki chłopom i zadecydowała między innymi o ich sytuacji kulturalnej. To też i w historii politycznego ruchu ludowego i w ruchu przedwojennym młodzieży wiejskiej konwencja ta stała się programowa, zanim w ogóle pojawiła się idea i ustrojowa możliwość wydobycia się większej części wsi z tradycyjnej rolniczości i z mitu bohaterszczyzny chłopskiej od Kościuszki, a może jeszcze i od piechoty łanowej Batorego. Polityczna „zgoda stanów", młodzieżowy agraryzm — to przecież były tylko formy przejmowania tej szlacheckiej konwencji ojczyźnianej: Polski rolniczej. Taka jest wymowa kulturalna szerokiego pejzażu rolniczego nawilgłego teraz od wiosennej wody tak samo tu pod Sieradzem, jako koło Puław.

Pruszyński, znawca prowincji, czuły na jej uroki i podskórnie niemal obecną historię maluje sugestywnie pejzaże małych miast i miasteczek, o których sądzi się, że więcej zawierają kultury, czynnika ludzkiej twórczości, niż wiatr i ziemia na wsi. I tu — konwencje literackie i historyczne okazują się jakże bogatsze! Może i Końskowola ma jakąś tradycję, ale jest to tradycja cudza, nie wiejska. Gościnny cmentarz przyjął prochy poetów dworskich: Kniaźnina, Piramowicza, Zabłockiego. Alę tradycja chłopska nie narzuca się świetnymi nazwiskami i pamiątkami w kamieniu. Jest to jakaś inna tradycja, niewiele mająca wspólnego z historią narodową. „Tkaniny lubelskie są wielobarwne i z wielu utkane wątków, pisanki tutejsze mają motywy zaczerpnięte i zza Wisły i zza Bugu, garnki mają bujne kształty i nader różnorodną polewę".

To jest także historia, tym bardziej, że mało już pozostało w Lubelszczyźnie starych kobiet, znających się na tkactwie ręcznym, że dziewczyny przestały obdarowywać wybranych chłopców pisankami, że garnki przywożone na targ do Lublina i Chełma nie zaciekawią etnografa banalnym kształtem i barwą.

W szkicu Pruszyńskiego jakże wyraźnie występuje ta granica historyczności: między małym miasteczkiem a wsią. Pruszyński uchwycił trafnie tę jeszcze jedną konwencję społeczno-literacką — „wsi wiecznej" — jak pisał Czechowicz: „mokra wieś, wieczna wieś takie dno zielonego świata".

Jeszcze jedna — także szlachetnej dawności — konwencja znalazła wyraz we wrażeniach Kwestarza Wielkanocnego: mit działacza, mit o nowoczesnych bohaterach kultury, działających indywidualnie dzięki energii osobistej, kulturze umysłowej i innym walorom właściwym dotychczas inteligencji. Inteligent na wsi — nauczyciel i grono inteligentów w miasteczku — profesor polonista, adwokat piszący wiersze — oni potrafiliby pobudzić prowincję do „śpiącychwstania" według dowcipnego wyrażenia mego nieznanego — po podróży — kolegi.

Ten także mit przedłuża się w argumentach krytycznych, dotyczących polityki kulturalnej na prowincji (zgodnych zresztą z wywodami F. Strojowskiego w „Twórczości"). Zarzuca się jej chaos, bezplanowość wynikłą z uzurpowania kompetencji działania kulturalnego przez wszystkie organizacje polityczno-społeczne. I tak było oddawna: „Samorząd, państwo, kościół, szkoła, a nawet policja, sprzysięgły się więc kilkanaście lat temu na uczytelnienie Końskowoli" — pisze Pruszyński z lekką, bez wątpienia uzasadnioną, ironią. Chodzi jednak o rzecz inną: że zarówno w tej krytyce, jak i w przedłużaniu mitu działacza — nie docenia się społecznej, praktycznej doniosłości **oddziaływania na grupy** poprzez **zorganizowane grupy**, jakie by one nie były: związane dla celów gospodarczych i politycznych czy ściśle kulturalnych. Kwestarz Wielkanocny spotkał się na wsi z nauczycielem, z działaczem politycznym (sam ubolewa, że jest on tu tylko jeden, samotny — Gębala) z mniejszą lub większą ale luźnie zebraną gromadą ludzi, którzy zeszli się go posłuchać. Ale resztę wsi uważa on za kulturalnie obojętną. Wylicza trzy instytucje kultury w Końskowoli: kościół, szynk, remizę strażacką. Są to instytucje tradycyjne. Ale obok nich narastają zapewne nowe, może niedość jeszcze wkorzenione w społeczność miejską: spółdzielnia, PRW, koła partii politycznych i ZSCh. Ich sieć obejmująca starą wieś to **jej nowa rzeczywistość kulturalna, przede wszystkim kulturalna.** W instytucjach istniejących, w pewnej mierze starych i w nowych powinni członkowie znaleźć **społeczne uzasadnienie dla czytania książek i gazet.** To byłaby droga: wykorzystanie dla czytelnictwa istniejących kulturalnych więzi, które wszak wytworzyć nie było łatwo, **a nie wyrywanie indywidualnych ludzi jako czytelników z grup już zorganizowanych.**

Takie dopiero traktowanie spraw kultury uczyniłoby bezzasadnym pogląd, że kultura wywiera wpływ społecznie dezorganizujący, wydobywa z masy, osamotnia tzw. konsumenta kulturalnego.

Z powodu tego samego mitu działacza Pruszyński przypisuje tak wielką rolę nauczycielowi — już nie tylko jako oświatowcy, ale działaczowi kulturalnemu. Sugeruje tę rolę zresztą Instytut Badania Czytelnictwa „Czytelnika", opierając akcję badania czytelnictwa na wsi przez pisarzy na wiejskim nauczycielstwie. Słuszne są na pewno spostrzeżenia Pruszyńskiego dotyczące ciężkiej sytuacji materialnej i co za tym idzie kulturalnej — nauczyciela na wsi i w małym mieście. Słuszne. Ale nauczyciel w tych środowiskach to przecież nie tylko inteligent w swej ciągłej misyjnej wobec ludności roli. Nauczyciel to instytucja wychowania, to szkoła.

Profesor Chałasiński w swej nowej książce „Społeczeństwo i wychowanie" określa i analizuje funkcję szkoły na wsi w jej historycznej zmienności zależnej od układu grup społecznych, zbiorowych wyobrażeń i autorytetów. Mój towarzysz podróży wiejskich, nauczyciel, opowiadał mi, jak to jeszcze przed dwoma laty w tejże Lubelszczyźnie, którą zwiedzał Pruszyński, chłop zdarł podłogę w swym budynku, gdzie miała się mieścić szkoła. Zdemolował własny dom, w którym miały się uczyć jego dzieci. Powstanie szkoły odczuł tylko jako gwałt na swoim prawie własności.

W tej długo trwającej walce o uznanie, o pozycję w społeczeństwie wiejskim szkoła musiała pełnić funkcję nie tylko wychowania młodzieży. Musiała przekształcać całą zbiorową świadomość. Nauczyciel na wsi stawał się pionierem kultury, wszechstronnym działaczem kulturalnym.

Dziś można już myśleć o tym, aby szkole zaufać przede wszystkim w jednym zadaniu: oświatowym i ściśle wychowawczym. Kultura opiera się na szkole, odwołuje się do niej — ale idzie dalej. Chodzi tylko o to, aby szkoła stała się rzeczywistym przygotowaniem do czynnego udziału w kulturze przez wprowadzenie młodzieży w system **istniejących więzi i zadań społecznych.** Bo przecież brak uznania szkoły przez stare pokolenie wynikał z tego, że lekceważąc te realne więzi życia na wsi szkoła przedwojenna próbowała wychować w chłopie bez skutku konsumenta „narodowej kultury". Zresztą to przesunięcie w roli szkoły staje się od dawna. Byłam też na zebraniu Rady Narodowej gminnej spółdzielni ZSCh, gdzie starzy chłopi, spółdzielcy omawiali swoje sprawy. To tu na nich, działaczy gospodarczych i innych przenosi się autorytet i powaga kultury wsi. Oni decydują o niej w wielkiej mierze.

Pruszyński interesując się sprawą nieszczęsnych bibliotek przedwojennych Końskowoli pominął zagadnienie: **w jakiej funkcji ma wejść książka na wieś** tak zaniedbaną kulturalnie, tak niecnie przez pana Zagłobę oczernioną. Zapewne — ma zastąpić szynk, czy kościół... Niemłoda gospodyni, którą odwiedzam, ściera fartuchem stołek, prosi siadać, ale nie bardzo chce rozmawiać o książkach. Są tu ważniejsze rzeczy: dziś lęgną się kurczęta w sztucznej wylęgarni w Sieradzu. Trudno doczekać jutra. Umówiły się z sąsiadką i biegną na pocztę telefonować, dowiedzieć się, czy dobrze się lęgną i ile.

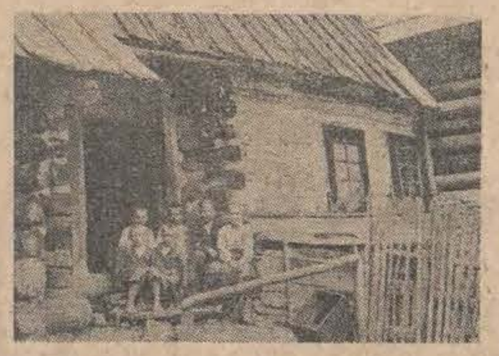
Poczta na tej wsi, telefon stały się elementem życia. Jako inowacja techniczna telefon nie tylko nie budzi już nieufności, ale służy, jest potrzebny i niezbędny.

Książka podobną drogą weszła na wieś: **kalendarz rolniczy, podręcznik torowały drogę dla uznania książki w ogóle.** Społeczna potrzeba o charakterze **pozakulturalnym** w potocznym znaczeniu — była jej uzasadnieniem w przedpiśmiennej kulturze wsi.

Dyskusja moja w tej sprawie sięga nieco poprzez artykuł Pruszyńskiego znów do tez Strojowskiego, z którymi jednak omawiany artykuł wydaje się zgodny.

Kulturalna prowincja! — marzy Pruszyński nie bez słusznej autoironii: „do Biłogoraju zawita z wieczorem autorskim Iwaszkiewicz, do Chełma Gałczyński, w Hrubieszowie koncertują Raoul Koczalski, w Zamościu odbywa się dysputa Turowicz — Kott i wszystko to nie dzieje się sporadycznie, raz w roku około Wielkiejnocy, ale stale, od września do początków maja."

Wzdycham, również nie bez auto-ironii: o, szczęśliwi uszczęśliwiacze ludzkości!



Dzieci przed najstarszą chatą żelarską w Falsztynie



Budynek byłego obszarnika dworskiego, obecnie społeczna własność wsi

Michał Balara

Zniesiono pańszczyznę dopiero w r. 1931

U ŻELARZY NA SPISZU

Falsztyn jest dawną osadą dworską na Spiszu. Domy mieszkalne zbudowane na wapiennych skałach południowego stoku, wysokiego brzegu Dunajca. Skały te stanowią wstęp do malowniczych Pienin. Przez osadę prowadzi bity gościniec spiski z Frydmana do Niedzicy. Wieś nie stanowi gromady, należy administracyjnie do wsi Frydman, odległej o 5 km.

Falsztyn, jak ludzie opowiadają w dawnych czasach nie znajdował się na tym miejscu, co dzisiaj; początki tej osady dworskiej stanowił klasztor, który był zbudowany na czworobocznej polanie pod górą Cisówką. Dzisiaj jeszcze widoczne są ślady fundamentów dawnego klasztoru. Podczas ostatniej wojny polanę tę zasadzono świerkami i miejsce początków Falsztyna zaciera się już prawie całkowicie.

Przy klasztorze znajdowało się podobno więzienie, do którego zamykano zbiegłych chłopów, zbuntowanych przeciwko pańszczyźnie. Więzieni chłopi byli używani do obrabiania gruntów przyklasztornych, liczących około 420 mórg.

Gdy majątek przyklasztorny przeszedł w posiadanie magnatów węgierskich, nowi właściciele zaczęli wobec więzionych chłopów stosować nową praktykę: dobrze się sprawującego i sumiennie pracującego „na pańskim" zwalniali oni z więzienia, pozwalając mu zbudować na gruncie dworskim chałupę oraz dając mu do użytku od 1 do 3 morgów gruntu, a wzamian za to poddany i jego rodzina byli obowiązani do wykonywania bezpłatnej robocizny we dworze od 186 do 200 dni rocznie. Grunt jednak i ziemia pod budową były zawsze własnością pana.



Dziewczęta spiskie pod kapliczką

W ten sposób na miejscu dzisiejszym, na stromych skałach wapiennych stanęło kilkanaście nędznych chałupin, których mieszkańcy z pokolenia na pokolenie odrabiali ciężką pańszczyznę. Tych **biednych gospodarzy** nazywano na Spiszu **żelarzami.**

Żelarze mieszkali w chatkach drewnianych jednoizbowych, bez podłogi oraz bez komina. Pierwsze domki były budowane przy pomocy tylko siekiery, bo piły wtedy jeszcze nie znano. Niedawno został zburzony dom Horniczaka, który był najstarszym na Falsztynie, liczył około 150 lat.

CIEMIĘŻYCIELE

Wśród tych ubogich ludzi, jakby na urągowisko, właściciel dworu postawił przed 70 laty na pięknym słonecznym zboczu duży, o prostokątnej podstawie, nowoczesny dom mieszkalny, o wysokich, jasnych oknach, z obszerną werandą od strony wschodniej. Na ile żelarskie domki były małe, na tyle dom pana był obszerny; na ile okna żelarskich domków były malutkie, na tyle były podwójnie wysokie okna dworskie. Gdy w ośmiu dużych pokojach mieszkał pan z żoną i jedynym synem, to w żelarskiej jednoizbowej chatce gnieździła się licząca od 8 do 10 członków biedna rodzina, która krwawo pracowała bezpłatnie na gruncie dworskim.

Jednym z ostatnich właścicieli Falsztyna był baron Jungenfeld, narodowości węgierskiej, religii ewangelickiej. Był to srogi pan, przed którym drżeli wszyscy poddani. Gdy jechał czterema końmi powozem, to z daleka każdy musiał ustępować do rowu, bo w przeciwnym razie walił batem po głowie chłopa aż do zemdlenia. Pewnego razu, gdy jadąc do Nowego Targu gościńcem popod Niedzicki Zamek, uderzył biczem jakiegoś górala w Czorsztynie, to chłop skoczył po drążek i wysmarował pana po plecach, głowie i gdzie dopadł. Prawda, że na tę śmiałą, czynną odpowiedź, mógł się zdobyć tylko chłop podhalański, który nie zaznał pańszczyzny, zawsze upodlającej i łamiącej ducha.

Następca Jungenfelda, syn jedynak baron Teodoryk Jungenfeld prowadził życie hulaszcze, gospodarka coraz więcej upadała, zato wzrastała nadzieja poddanych.

Już za starego Jungenfelda ówczesny rządca dworski Szkotz, przewidując smutną przyszłość panów jeszcze za czasów pierwszej wojny światowej, często mawiał do Falsztynian:

— Uwidzicie, po mojej śmierci, na werandzie dworskiej, tu na Falsztynie, bedom juhasi owce doić.

Po śmierci ostatniego barona Jungenfelda dwór ze wszystkimi dobrami przypadł ciotce zmarłego, hrabinie Salamonowej, ostatniej właścicielce Zamku Niedzickiego.

PIERWSZA SZKOŁA CHŁOPSKA

Na Falsztynie w ogóle chłopi szkoły nie mieli. Od jakich 40 lat dzieci schodziły się w jednej chacie żelarskiej, posiadały na ławach, skrzyniach, stołeczkach, na łóżku i uczyły się czytać z modlitewnej książki. Pojętniejsze dziecko nauczyło się sylabizować w ciągu dwu lat. Taki już potem nie trzymał książki w kościele „do góry nogami" — mawiali ludzie.

Długie lata dzieci żelarzy falsztyńskich uczył chłop Józef Galik, stanu wolnego, gospodarz z Frydmana. Był to człowiek cichy, głęboko myślący, rozumiejący ciężką dolę rodziców powierzonych sobie dzieci. Często pisywał on listy do ostatniej właścicielki dworu, hrabiny Salamonowej, by ulżyła żelarzom w nędznym życiu. Listy te, pisane językiem polskim, podpisany tłumaczył na język węgierski, gdyż hrabina nie władała językiem poddanych. Daremne jednak były słowa, które kierowano do twardego serca hrabiny.

W latach 1923/24 dostarczyłem chłopskiemu nauczycielowi 20 polskich elementarzy drukowanych oraz dużej tablicy czarnej do pisania kredą. Od tego czasu co roku dzieci żelarskie uczyły się z elementarzy drukowanych. Po pierwszej wojnie światowej chłopi, powróciwszy z wojska, nie chcieli odrabiać w dalszym ciągu pańszczyzny. Pan im zaniedbane dni liczył, nawet i z lat wojennych — zdawało się, że Falsztynianie pójdą z torbami w świat.

UWŁASZCZENIE ŻELARZY

W roku 1931 Sejm Polski zajął się sprawą żelarską Falsztyna. Wyszła ustawa, mocą której żelarze na Spiszu, stali się wolnymi. Domy, w których mieszkali, zostały ich własnością oraz grunt, który używali. Oprócz tego poprzydzielano każdemu gospodarzowi po trzy do czterech morgów gruntu ornego. Od tego czasu niesławnej pamięci pańszczyzna na Spiszu została zniesiona. Falsztynianie zaczęli gospodarować na swoim.

W KARCZMIE OŚWIATA

W roku 1936 władze szkolne postanowiły uruchomić publiczną szkołę powszechną na Falsztynie. Dzieci w wieku obowiązku szkolnego było 25. Nie było na ten cel budynku, a właścicielka dworu nie godziła się, by w jej komnatach „chłopski smród" się roznosił. Po naradach postanowiono znieść gniazdo zarazy ludzkiej — dworską karczmę i po małym odremontowaniu jej, powiększeniu okien i drzwi, założono w niej szkołę. Przyszedł prawdziwy nauczyciel polski i zaczął te leśne i dzikie dzieci uczyć o szerszym pozafalsztyńskim świecie. A nie tylko dzieci, ale i starsi wieczorami się schodzili, douczali się i dowiadywali, co się w świecie dzieje.

ROZPARCELOWANIE DWORU

Po zakończeniu obecnej wojny światowej przyszedł wreszcie czas na wydźwignięcie Falsztynian do godności ludzkiej.

Reformą rolną cały obszar dworski przydzielono temu, który na nim od wieków pracował, to jest chłopu na Falsztynie, a budynek o dużych oknach i jasnych salach, przeznaczono na potrzeby ludności, to jest na pomieszczenie przedszkola, szkoły powszechnej, na zebrania ludności, na pomieszczenie spółdzielni i w ogóle na cele wyłącznie społeczno-chłopskie.

BARTOSZ

ZNACIE ICH?

(na mieszczańskim piętrze i parterze)

Cacy — pensjonarka



OBOK lektury niektórych tygodników niebywałej uczty duchowej dostarcza czytanie pamiętników młodych panienek wymierającego gatunku pensjonarek. Pamiętniki takie zawierają często t. zw. „złote myśli" i rozważania na najprzeróżniejsze tematy od erotycznych do społeczno-politycznych. Specyficzne podejście do tych tematów skłoniło nas do podania niektórych cytat do wiadomości publicznej.

I oto pod datą 5. IV. czytamy:

„Dzisiaj poszłam z Danusią do kina „Za winy niepopełnione", gra tu Pichelski, jest piękny, tak bardzo piękny, żebym go z chęcią ucałowała. Ach jak go bardzo kocham. Bodo jest tu obrzydliwy a Stępowski biedny tak bardzo. Ja niemożliwie zakochałam się w Pichelskim. Słyszałam, że ożenił się z artystką Domańską, że ma po czterdziestce i że ma czteroletnią córeczkę. Och, jaki Pichelski jest piękny! Nazywa się Jerzy. Jurciu! Boże, ja nie wytrzymam..."

No, nie sądźmy, że autorka kochała się tylko tragicznie w amantach filmowych.

Pod datą 8. IV. czytamy:

„Ciągle teraz staje mnie przed oczamy p. Zbigniew. Jest słodki, tak mnie trzymał za rękę, a jak mama wyszła, to pieścił".

A teraz przejście do brutalnej rzeczywistości, do polityki:

12. IV.:

„Ja jestem przeciwniczką tego rządu, choć się na tych sprawach nie znam, ale uważam, sądząc po stosunkach w kraju, że źle rządzą. Zresztą nie można od nich więcej wymagać, bo trudno, żeby ludzie, którzy mieszkali w tej samej kamienicy co i my w Warszawie i którzy byli administratorami domów, rządzili lepiej. Zresztą co mnie tam do polityki".

Nie dziwmy się skrystalizowanym poglądom politycznym.

15 — IV:

„Niewiem poco tego tatusia usadzili do zarządu P.S.L. Poco to wogóle być partyjnym i bez tego się obejdzie".

Pierwszomajowa defilada nasuwa ciekawe refleksje:

„Może myślał, że pujdę na tą czerwoną defiladę. Jeszcze czego! Patrzałam się tylko. Niektóre wozy były ładnie przybrane, ale ogólnie nie było entuzjazmu, nie było ani szkół i wojska, tylko same P.P.R. i P.P.S. Przebierańce jakieś wstrętne szły w postaci Mikołajczyka i Czerczyla. Ludzie się trochę śmieli, ale wcale nie klaskali. Klaskali tylko na charcerstwo(!). Taką defilada to do luftu. Na trybunie stał Żymierski i podobno ziewał. Jutrzejsza defilada, to jakby nie było, ale to zawsze dzień uroczysty, bo święto narodowe 3 maja, a 1-go to nigdy nie było urządzane, tylko, że się jakimś dudkom zachciało komunizmu, to urządzili. W ogóle uwarzam, że takie czasy jak teraz to może nie są leprze nawet od niemieckiej okupacji i tak wszyscy mądrzy ludzi uwarzają" (ortografia oryginalna).

Rodzice tej 17-letniej czwartoklasistki protestują napewno przeciwko „wciąganiu młodzieży do polityki", przeciwko lekcjom „zagadnień życia współ.". Mają rację.

O. C.

P. S. Wszystkie cytaty są autentyczne, na żądanie służymy oryginałem.

O. C.

Cacy — studencik



Poznań, 24. III. 48 r.

Kochany Kaziu!

My tu ciągle o Tobie rozmawiamy, nie możemy odżałować takiego kompana jak Ty. Co prawda ostatnio doszły nas słuchy, żeś bardzo „sporządniał", no i ta „Wieś"... Czyś Ty nie mógł znaleźć pracy gdzie indziej? — tylko w ich administracji? Przecież to kompromitacja i dla Ciebie i dla rodziców, no i obraza Pana Boga. Tego Ci nigdy nie darujemy. Prawdziwy skandal w przyzwoitej rodzinie.

No, ale przejdźmy do rzeczy weselszych. U nas po staremu. Ostatnio zaczęliśmy coprawda mniej pić, lecz zato dla odmiany zaczynamy grać w karty całymi nocami, przedwczoraj np. przegrałem 600 zł. a zaraz potem wygrałem 700 zł.

Tydzień temu byłem w „Cyganerii". Urżnąłem się w drobiazgi. Zygmunt też załał się jak nieboskie stworzenie. Zaczęliśmy się trochę bawić na ulicy i te dziady z M. O. nas przymknęły. Już sam nie wiem, co teraz w Polsce wolno robić.

Nie wiem, czy u was też tyle chłopów dostało się na Uniwersytet. To całe towarzystwo nawet przyzwoicie zachować się nie umie, a zachciało się im być doktorami. Żebyś Ty widział, jak oni jedzą w stołówce! Panie Boże się pożal. Jeden wielki skandal. I takich przyjęto bez egzaminu, a jak chłopiec jest inteligentnych rodziców, to musi nie wiem jakich dróg szukać, żeby go na tę medycynę przyjęli...

...Nie wiem, czy Ci pisałem, że Helę puściłem kantem. Zaczęła mi się już nudzić, a nie wiem, czy jest coś gorszego na świecie, jak nudne kobiety. Teraz wyszukałem cudo, mówię Ci cudo, paluszki lizać. Takiej dziewczyny nie znajdziesz chyba. Moja gospodyni tylko się dziwi, gdzie ja po nocach znikam, dobry kawał — co?

No, kończę już bo późno. Radzę Ci jeszcze raz z całego serca rzuć „Wieś" i nie kompromituj więcej swoich rodziców.

Twój
Jerzy

Cacy — ciocia



Kochana moja Gieniu!

Upadam ze znużenia. Wyobraź sobie, cały dzień biegałam robiąc zakupy, bo podobno coś się szykuje. Trzeba sobie uzbierać trochę zapasów. Mówię Ci, u nas tu już strasznie gorąco, czuć wojnę. Wszędzie tylko słyszysz: przyjaźń polsko - radziecka, Służba Polsce, koniec z PPS-em, no i że naszych akademików, kwiat młodzieży, wywiozą na wakacje do Czech, Rosji i innych tam państw słowiańskich. Jak ty uważasz Gieniu, czy to nie podstęp?

Bardzo mi przykro, że muszę Cię martwić, ale trudno, matka musi wiedzieć wszystko. Twoja Basia zapisała się do „Wici", cóż ty na to? Tydzień temu na biurku znalazłam jej legitymację. Wiesz, myślałam, że zemdleję. Bo to ma być zlepienie wszystkiej młodzieży w jedność, wiadomo jaką. Próbowałam jej wytłómaczyć, że tego robić nie wolno, przecież ona poto się uczy, aby nie być jak jej dziadek w lnianych portkach, ale gdzie tam, ja swoje a ona swoje. Wczoraj zajrzałam do jej biurka, zamykała je na klucz, więc myślę sobie, musi coś mieć i nawet nie wyobrażasz sobie, co znalazłam, całe pliki gazet, a wiesz jakich? „Kuźnica", „Wieś", „Wici", jakieś tam „Odrodzenie". Mówię jej — dziewczyno zastanów się, co ty czytasz, toż was ogłupiają, chcą z was zrobić komunistów, chcą, żebyście potem własnych rodziców zabijali. Ona powiada — nieprawda, muszę przecież sama dowiedzieć się, co się u nas dzieje. To, Gieniu droga, gdzie nasze prawa rodzicielskie, kto lepiej wi, ona czy ja? Żebyś wiedziała, kiedyś mój stary powiada przy kolacji: — tyle piszą o gospodarce planowej, a to się u nas nie przyjmie. A ten smarkacz, mój Tadziu, odzywa się: bo nasze społeczeństwo nie jest na odpowiednim poziomie wychowane, dopiero może to zorganizować młode pokolenie, to znaczy my.

Oj, Gieniu, wiesz jak Cię kocham, ale dłużej Twojej Basi trzymać nie mogę. Żal mi jej, ale własnego dziecka nie dam zepsuć. Takie niepewne czasy się robią, to nawet lepiej będzie, jak ją zabierzesz do tych Szczekocin. Tylko zaklinam Cię, wybij jej te nowości z głowy.

Kochająca Cię
Tekla.

L I S T Y

Do wydawców!

Drogi Kolego Sewerynie!

Dopytujecie nas Moi Drodzy o informacje, które pozwoliłyby Wam w pełni zorientować się we współczesnym ruchu wydawniczym.

Wiadomo ze słuchów, że ruch ten jest dosyć znaczny, że około 2 książek ukazuje się w Polsce dziennie, zdumiewacie się ich obfitością w witrynach księgarni miasta wojewódzkiego do którego zaglądacie i brak Wam do nich jakiegoś sensownego klucza ułatwiającego rozeznanie. Polegać częstokroć musicie na księgarzu, dla którego sprawa treści książki, ujęcia tematu, przydatności dla Waszych celów jest najzupełniej z reguły obojętna. Stąd Wasz zarzut w stosunku do pisma, do jego redakcji, że nie daje recenzyj, wzmianek informacyjnych odpowiednich do wachlarza zagadnień z jakimi Wy borykacie się w Waszym warsztacie pisarskim i działalności oświatowej.

Pretensja Wasza jest słuszna i niesłuszna.

Generalny jej charakter skłania nas do publicznej odpowiedzi na Wasz list, a zarazem zwrócenia jej adresu we właściwą stronę.

Nie Wy jedni odczuwacie brak pełnych informacji o ruchu wydawniczym. Podzielamy Wasz punkt widzenia, że pozycja pisarza ludowego i działacza kulturalnego na prowincji jest szczególnie eksponowana. Jest on czołówką swojej grupy społecznej w docieraniu do kultury. Pozyskanie dla książki takiego czytelnika, jak Wy o uświadomionych potrzebach, to rękojmia pozyskiwania nowych poprzez Was grup czytelniczych.

Co do recenzji literackich tradycyjnego typu, oddawna uważamy je za nie najlepszy sposób pośredniczenia między książką a czytelnikiem. Zazwyczaj omawiają one zjawiska większego kalibru, wyjątkowe i niejednokrotnie zmieniają się w popisy krytyczne. Usiłowaliśmy przeto zmontować kolumnę informującą o ruchu wydawniczym z uwzględnieniem tego wszystkiego, co obrazuje ruch umysłowy na różnych jego poziomach.

Niestety, jesteśmy w położeniu niewiele lepszym od Waszego.

Mamy coprawda więcej księgarni pod ręką, ale to prawie wszystko. Dotychczas nie ma periodycznego urzędowego wykazu druków, który by w sposób wyczerpujący choć wstecz informował o tym, co w Polsce ukazało się, co warto byłoby omówić czy zasygnalizować naszym czytelnikom. Komunikaty i katologi wydawnictw są nieliczne i dostarczają wiadomości dość bałamutnych, a szybkość i pewność informacji jest postulatem rozstrzygającym o powodzeniu akcji. Zwróciliśmy się do wydawnictw z apelem o regularne dostarczenie nam materiałów informacyjnych i egzemplarzy recenzyjnych. Apel nasz minął prawie bez echa. Interwencja osobista jednego z redaktorów spotkała się tylko w niektórych wydawnictwach (np. „Czytelnik", Gebethner i Wolff) z życzliwym przyjęciem, popartym nadesłaniem żądanych materiałów. Były i takie (np. nasza Księgarnia), których kierownik Wydziału Propagandy nie wykazał żadnego zainteresowania możliwościami wyzyskania jeszcze jednej drogi dotarcia do czytelnika.

Taka obojętność wobec toczącej się ofensywy mającej na celu zdobycie terenów ugorujących kulturalnie, nie pozbawiona jest swoistej wymowy. To właśnie jest adres, pod jaki kierujemy Wasze słuszne postulaty, postulaty szerokich rzesz czytelniczych.

Jak długo nie będziemy zaopatrywani przez wydawnictwa regularnie, przed ukazaniem się książki na rynku w:

a) egzemplarze recenzyjne z notkami wydawniczymi, ułatwiającymi redakcji orientację w różnorodnym, masowym materiale,

b) katalogi i komunikaty pozwalające powziąć wyobrażenie o całokształcie akcji wydawniczej wydawnictwa oraz zapowiedzieć precyzyjnie, co w najbliższym czasie ukaże się —

— tak długo nie ma możliwości służenia Wam radą i pomocą w wyborze książek.

Twój Zdzisław

Dwie sprawy

Szanowny Panie Redaktorze!

W drugi dzień Świąt Wielkanocnych wyszliśmy z Uniwersytetu Ludowego w Pawłowicach w brygadzie 7-miu słuchaczy (a takich brygad wyszło w różne strony 10) — my do wsi Mieronie, gm. Wodzisław, pow. Jędrzejów — 15 km marszu. Mieliśmy tam odczyty, urządzaliśmy inscenizacje, śpiewali piosenki, prowadzili ze zgromadzonymi chłopami rozmowy w sprawach miejscowych, gospodarczych i w sprawie czytelnictwa.

Wieś biedna, ponad 400 mieszkańców, gospodarstwa po 3 morgi. Otóż tu natrafiliśmy na dwu szczególnie uzdolnionych artystycznie chłopów. Jeden, to Stanisław Dróżdż, który rzeźbi piękne figury w stylu mało spotykanym nawet w muzeach.

Drugi to 14-letni chłopiec, nazwiskiem Łabodziński Józef. Ułożył on b. piękną sztukę pt. „Bohater", z czasów okupacji, nie będąc ani razu w teatrze, ani w kinie. Chłopiec ten prosił, aby gdzieś mu udostępnić dalszą naukę, bo po ukończeniu 7 klas dalej nie będzie mógł się kształcić z braku warunków materialnych rodziny. Jest on uzdolniony wszechstronnie i szkoda, aby jego zdolności miały się marnować.

Zdzisław Kacperek
Słuchacz U. L. w Pawłowicach
(członek OM TUR-u)

OD REDAKCJI

W sprawie pierwszej — rzeźbiarza Dróżdża, apelujemy do Departamentu Plastyki w Ministerstwie Kultury i Sztuki, aby się nim zainteresowało.

W sprawie drugiej — utalentowanego literacko 14-letniego Łabodzińskiego, odwołujemy się do powiatowego zarządu ZSCh, SL, PPR. Oto Wasze zadanie — zdobyć w terenie fundusz społeczny na dalsze kształcenie się i bursę dla najmłodszego autora scenicznego. Jaka jeszcze inna instytucja okaże w tej sprawie inicjatywę? Oczekujemy na odpowiedź.

Czekamy na odpowiedź

Raduczyce, 1.4.48 r.

Ja, ob. Famulski Franciszek, zam. we wsi Raduczyce, gm. Radoszewice, pow. Wieluń, zwracam się o udzielenie mi informacji w sprawie mojego syna, który został wyrzucony ze szkoły powszechnej w Kolonii Raduckiej, gm. Radoszewice, pow. Wieluń.

Od dnia 12 stycznia 1948 r. ma przerwaną naukę, z powodu wyrzucenia przez kierowniczkę szkoły, gdzie uczęszczał do oddz. 5.

Powód był do tego następujący, że dzieci, które szły do szkoły, wraz mój syn Andrzej, zaszło coś pomiędzy nimi i pobiły się, więc kierowniczka nie miała innej kary, tylko mojego syna wyrzuciła ze szkoły.

Pomimo, że kilkakrotnie, chodziłem do kierowniczki z prośbą o przyjęcie mego syna do szkoły, to powiedziała, że jej się nie podoba i jego nie przyjmie.

Następnie byłem w powiatowym inspektoracie szkolnym, powiedziano mi, że zjedzie rozpatrzyć na miejscu tę sprawę i czekam do tej pory i nie mam żadnej wiadomości.

A moje dziecko nadal do szkoły nie uczęszcza. Więc jak tak dalej będziemy dbać o dziecko chłopskie, to możemy się spodziewać nie w przód, ale w tył.

Niech żyje Redakcja dla wsi!

Famulski Franciszek

OD REDAKCJI

Przypuszczamy, że od P. Kierowniczki otrzymamy list, w którym albo nam doniesie o powrotnym przyjęciu wydalonego ze szkoły chłopca, albo — poda powody, dla których to 10 — 13-letni chłopiec musi za winy swoje odpokutować **zrezygnowaniem z prawa do oświaty**, tym samym z prawa do wyrośnięcia na dobrego i mądrego obywatela. Szkoła jest instytucją społeczną. Interesuje się nią opinią publiczna. I chce i może mieć na szkołę wpływ. List, który zamieściliśmy, napisał ojciec w obronie własnego dziecka. To już dużo: kiedy wyczerpał urzędowe drogi, odwołał się do pisma, dalej niż parafia, niż powiat. Odwołał się do tej moralności społecznej, która pełni funkcję kontrolną i nad zapadłą prowincją. Wyprasza z niej mroki wstecznictwa i niedbałości o los ludzi „stamtąd". Doczekamy się zapewne listów, które będą pisać ojcowie w sprawie **nie swoich dzieci z tą samą pasją**. Kiedy osiągniemy ten stan, rodzice będą mogli być spokojni o los własnych dzieci. I dopiero wówczas! Czekamy na głosy rodziców i nauczycieli.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;
1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto
PKO ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—018499